Nr. 173. Lwów — Wtorek dnia 30 Lipca. Rok 1901.

Wychodzi w dni powszednie o godzinie 6 po południu z datą dnia następnego.

Prenumerata z przesyłką pocztową wynosi
w kraju i Austryi miesięcznie 2 k. 20 h.
w Niemczech . . . . . . [illegible]
w innych Państwach . . . [illegible]
Za zmianę adresu dopłaca się 40 „
[illegible]
Prenumerata we Lwowie miesięcznie 2 k.
Numer pojedynczy we Lwowie . . . [illegible]
na prowincyi . . . . [illegible]
[illegible]
Wszelkie [illegible] PRYWATNE [illegible]

PRZEGLĄD

polityczny, społeczny i literacki.

OGŁOSZENIA I PRZEDPŁATĘ MIEJSCOWĄ
przyjmuje wyłącznie:
Agencya dzienników [illegible] we Lwowie
[illegible]
Ceny ogłoszeń:
Zwyczajne ogłoszenia na czwartej stronicy:
wiersz petitowy albo jego miejsce 10 h.
W drobnych ogłoszeniach:
tłustym petitem za każde słowo 4 h.
tłustym garmondem „ „ 6 h.
koresp. prywatne „ „ 8 h.
Nadesłane na trzeciej stronicy:
Ogłoszenia wiersz petitowy albo jego miejsce . . . 60 h.
Reklamy po kronice wiersz petit 1 k.
[illegible]
na pierwszej stronicy wiersz petitowy . . . 60 h.

Dziś: św. Abdona, Martyny w. m.
Jutro: św. Ignacego Lol., Jemyłyana

Adres Redakcyi i Administracyi: Lwów, ul. Sykstuska l. 45.

Naczelny Redaktor i Wydawca: **Ludwik Masłowski.**

Wschód słońca o g. 4 m. 39
Zachód „ „ 7 m. 32

Długość dnia godzin 14 minut 53
Ubyło dnia od wczoraj 3 min.

Wybory w Nadrenii.

Polacy pracujący w kopalniach i fabrykach trzech nadreńskich powiatów Duisburg, Mühlheim, Ruhrort, wybierających razem jednego posła do parlamentu Rzeszy niemieckiej, postanowili teraz po raz pierwszy głosować nie na kandydata katolickiego centrum, lecz na własnego kandydata, którym obrali p. Leona Czarlińskiego z Torunia. Mogli obrać kogo bądź, choćby nawet osobę mityczną, ponieważ wiedziano z góry, że Polak nie przejdzie; kandydaturę jego postanowiono jedynie dlatego, aby „się skupić", oprócz zaś tego, żeby liczbą głosów oddanych na niego udowodnić, że w owej nadreńskiej okolicy mieszka tak liczny zastęp Polaków, iż słusznie się im należy osobny polski kapłan. Że istotnie powinni oni mieć księdza mówiącego po polsku, ponieważ niemieckiego języka prawie nie posiadają, to nie podlega żadnej wątpliwości: dość powiedzieć, że nie chodzą do kościołów na niezrozumiałe kazania i dodatkowe nabożeństwa, lecz się modlą w domach prywatnych, w gajach, czasami w karczmach. Z drugiej jednak strony trzeba przyznać słuszność tym, którzy dowodzili, że taka okoliczność, jak wybory, nie powinna służyć jedynie do statystycznych obliczeń polskiej kolonii nad Renem, ponieważ chodziło w tym wypadku o rzecz bardzo ważną, bo o zwycięstwo sprzymierzonego z Polakami stronnictwa centrum nad wrogiem i Polaków i centrum stronnictwem liberalnem. Można przecież jakimś innym sposobem, n. p. petycyą do biskupa, podpisaną przez kilka tysięcy Polaków, przekonać konsystorz niemiecki o tem, że polski ksiądz jest potrzebny, a skupić się trzeba za pomocą stowarzyszeń, na stałe, a nie na jeden wypadek. Ale postanowiono inaczej; na wszelkie perswazye, nadchodzące z Poznańskiego, odpowiadano z Nadrenii, że w Wielkopolsce nie rozumieją stosunków w owej nadreńskiej okolicy; że tamtejszy komitet polski, złożony z osób dwudziestu, uznał po gruntownej rozwadze większością ośmnastu głosów, że wybory będą właśnie jedyną a nader pożądaną sposobnością do okazania takiej polskiej siły, że z nią centrum i duchowieństwo katolicko-niemieckie będą musiały poważnie się liczyć. Tak mówili znawcy miejscowych polskich stosunków, przyrzekali zamanifestować coś nadzwyczajnego, prosili, aby im nie przeszkadzano, — więc stało się jak chcieli.

Odbyły się nareszcie wybory, a oto ich rezultat: kandydat centrum, znakomity w Niemczech prawnik, członek trybunału Rzeszy, p. Rintelen otrzymał 19·207, liberał — 22.598, socyalista — 14.027, postępowiec niemiecki — 1377, a Polak Czarliński 2.430 głosów. Nikt więc nie otrzymał absolutnej większości, a zatem odbędą się wybory ściślejsze między katolikiem niemieckim a liberałem. Ten ostatni prawdopodobnie przejdzie, ponieważ zapewne jemu oddadzą swe głosy socyaliści i postępowcy.

Do czegoż więc doprowadziła odrębna polska akcya wyborcza? Przypominamy, że była ona przedsięwzięta jako mobilizacya sił polskich, a nadto dla zdobycia polskiego kapłana; tymczasem się okazało, że pod tą chorągwią stanęło tylko 2.430 osób. Gdyby tyle ich było w jednej miejscowości, liczba mogłaby zaimponować, ale byli to wyborcy, mieszkającymi małemi gromadkami na obszarze trzech powiatów. Czyż nie słusznie może teraz powiedzieć konsystorz katolicki, że nie wie, gdzie osadzić polskiego kapłana? nie wie, gdzie wprowadzić polskie nabożeństwa? Zapewniano, że polski komitet wyborczy bardzo gruntownie zbadał sytuacyę, a ośmnastu głosami na dwadzieścia zapowiedział on imponującą manifestacyę. Po wyborach nie można o tym komitecie powiedzieć, że się omylił, przeliczył, rachował zbyt optymistycznie, lecz niestety trzeba powiedzieć o nim, że nic na seryo nie badał, nie wiedział, na co się porywa, i w rezultacie tylko zaszkodził polskiemu domaganiu się osobnego kapłana.

Ale doznało się jeszcze coś gorszego. W owych trzech powiatach górniczych w Nadrenii przebywa — wedle statystyki rządowej — mniej więcej pięć do sześciu tysięcy polskich wyborców, a ponieważ na p. Leona Czarlińskiego głosowało tylko 2430 osób, przeto tylko 50% wszystkich stanęło pod komendą komitetu wyborczego. Nie wiadomo, jak postąpili inni. Pisma poznańskie przypuszczają, że głosowali na socyalistę. W każdym jednak razie okazało się, że brak organizacyi i karności w obozie polskim, a zatem ta odrębna wyborcza polityka nadreńskich Polaków odsłoniła tylko ich słabość. Centrum będzie mogło teraz mówić, że na takiego sojusznika nie można liczyć i nie warto zawierać z nim układów i kompromisów. Wprawdzie teraz zwolennicy stawiania w Westfalii polskich kandydatów powiadają, że każda pierwsza próba jest trudna i musi być bezskuteczną, a dalej — że agitacya była spóźniona i utrudniona zarówno przez rząd, jak przez centrum, i wreszcie, że w owych powiatach Duisburg, Mühlheim, Ruhrort bardzo stosunkowo mało Polaków, bez porównania mniej, niż np. w powiatach Dortmundzkim, Bochumskim i Recklingshauseńskim, — zatem za półtora roku, kiedy się odbędą powszechne wybory do parlamentu dopiero Polacy wystąpią i pokażą, że nie są wielkością, o której wolno nie dbać. My sądzimy, że to jest zupełnie mylne rozumowanie, bo jeśli stanie się zasadą stawianie polskich kandydatów, którzy nigdzie w Westfalii przejść nie mogą, to właśnie niemieckie stronnictwa przestaną dbać o Polaków, którzy w walce wyborczej sami zmarnują swą siłę zamiast oddawać ją na korzyść polskim katolikom niemieckim i za to coś od nich otrzymywać.

Nie rozumiemy, po co my mamy zrażać do siebie jedynych naszych przyjaciół w Niemczech — katolików — stawianiem polskich kandydatur w kraju nawskroś niemieckim, od wieków niemieckim — i to jeszcze kandydatur, niemających powodzenia! Czyż nie lepiej wspierać centrum i za to obowiązywać je do pomagania nam przy wyborach w Wielkopolsce, a przy obradach — w parlamencie?

Początek ważnej pracy.

W ubiegły czwartek zjechali się w Wiedniu delagacyi obu rządów, t. j. sześciu wyższych urzędników ministeryalnych węgierskich i sześciu austryackich, by rozpocząć prace nad doprowadzeniem do skutku dzieła bardzo ważnego, a zarazem trudnego, t. j. ułożenia nowej autonomicznej taryfy celnej. Taryfa obecna obowiązuje już od lat dwudziestu, w tym czasie zaś zaszły w polityce handlowej i wogóle w gospodarstwie społecznem wszystkich państw tak ważne zmiany, że anachroniznem byłoby trzymać się dziś jeszcze taryfy celnej z przed lat dwudziestu, tem bardziej, że za dwa lata przyjdzie nam zawierać traktaty handlowe z obcemi państwami. Dlatego też już przed dwoma laty, gdy w drodze rozporządzenia przedłużono prowizorycznie unię ekonomiczną między Austryą a Węgrami, zastrzeżono w owem rozporządzeniu, że zanim rozpoczną się rokowania o zawarcie nowych traktatów handlowych, musi być w miejsce dzisiejszej autonomicznej taryfy celnej zaprowadzona nowa. Zarazem dodano, że ta nowa taryfa celna ma w równej mierze ochraniać rolnicze i przemysłowe interesa obu państw, t. j. Austryi i Węgier. Łatwiej jednak postawić taki warunek, aniżeli go wypełnić, jest bowiem rzeczą niesłychanie trudną ocenić, gdzie się rozpoczyna, a gdzie kończy równomierność ochrony wszystkich gałęzi produkcyi i pogodzić ze sobą tak sprzeczne często interesa producenta i konsumenta, rolnika i fabrykanta i t. p. W naszej monarchii żądanie to jest jeszcze tem trudniejsze, że pogodzić trzeba ze sobą nietylko interesa poszczególnych warstw ludności, ale także interesa dwóch państw i ułożyć taryfę w ten sposób, by ona mogła służyć nadal za podstawę unii ekonomicznej między Austryą a Węgrami. W Austryi potężne związki domagają się jak najdalej idącej ochrony dla przemysłu, natomiast Węgrzy całą wagę przykładają do zapewnienia wydatnej ochrony gospodarstwu rolnemu i leśnemu. W tym względzie interesa kraju naszego są mniej więcej identyczne z węgierskimi i dlatego i my także domagać się musimy, ażeby nowa taryfa celna ułożona była tak, by rolnictwo, gospodarstwo leśne i chów bydła jak najbardziej rozwijać się mogły. Ponosimy wielkie ofiary materyalne już przez to samo, że jesteśmy w unii celnej z Węgrami, gdyż konkurencya węgierska ogromnie pogarsza położenie naszych rolników, niechże więc przynajmniej w obrocie handlowym z zagranicą otoczy ich nowa taryfa celna skuteczną opiekę.

Ale z drugiej strony obowiązkiem rządów jest przy układaniu nowej taryfy troszczyć się także i o przemysł, więc nawet Węgrzy domagają się, aby rząd, stojąc na straży interesów rolnictwa, nie zapomniał także o ich młodym przemyśle. I my przecie także mamy pewne początki przemysłu i również mamy prawo domagać się, aby nowe cła nie zabijały go w zarodku, lecz przeciwnie stworzyły dlań podstawy dalszego rozwoju. Wogóle kwestya ułożenia nowej taryfy jest niesłychanie trudna i skomplikowana, a od jej szczęśliwego rozwiązania zależy dobrobyt państwa i jego narodów. Życzymy więc przedstawicielom obu rządów, aby udało się im szczęśliwie spełnić ich ważne zadanie i aby Rada państwa, zebrawszy się w jesieni, zastała już gotowy projekt nowej taryfy celnej, odpowiadający życzeniom ludności i by na jego podstawie mogła rozpocząć dalszy okres wydatnej i błogiej w skutki pracy ustawodawczej.

Precz z ugodą!

Piszą nam z Wiednia 28 lipca:

Rokowania ugodowe w Austryi rozbijają się tak często i głośno — czy rozpoczęte sub auspiciis rządu, jak czesko-niemieckie r. 1890. czy też samodzielnie, jak niemiecko-włoskie w Tyrolu — że trzeba już przywitać jako objaw wyjątkowo pomyślny, jeżeli gdzieś układy trwają i nie bywa ogłoszone uroczyście ich rozbicie, chociaż nie wydały jeszcze pozytywnego owocu. Ten wyjątkowy obraz przedstawiała dotąd Morawia. Tam wyznaczony przez sejm krajowy komitet od kilku lat obraduje nad ugodą niemiecko-czeską. Krótko mówiąc, ma ona być zawartą na tej podstawie, że posłowie czescy przy pomocy konserwatywnych posłów kuryi wielkiej posiadłości tworzyć będą w przyszłości większość w sejmie berneńskim, ale ustanowienie narodowych kuryi sejmowych zabezpieczy Niemców od wszelkiego ucisku. Podczas tegorocznej sesyi sejmowej wprawdzie sprawa tej ugody nie postąpiła naprzód, ale tak baron Chlumecky, jak dr. d'Elvert i dr. Zaczek w rozprawach o budżecie krajowym wyrażali życzenie i nadzieję, że ugoda dopisze. W duchu antiugodowym odezwał się skrajny młodoczech Strański, w tymże duchu piszą *Narodni Listy* w polemikach z drem Zaczkiem.

Na te napaści organu praskiego odpowiada *Morawska Orlice*: „Wawrzyny, zdobyte (przez młodoczechów) przez zniweczenie ugody niemiecko-czeskiej r. 1890 mają się pomnożyć przez rozbicie akcyi ugodowej na Morawie. Podczas gdy polityka młodoczeska w Czechach przygotowuje ugodę z Niemcami, na Morawii zaleca najostrzejszą narodową ciętość. Ma to odwrócić uwagę od flirtu z Niemcami w Czechach... Chodzi tu o akcyę równoległą. U nas, jak w Czechach, ugoda zależy od przyznania niemieckiej kuryi prawa veto, bez czego Niemcy nie pozwolą na zmianę ordynacyi wyborczej. Kto więc oskarża nas o małoduszność, musi także o nią oskarżać akcyę w Czechach. Bez ofiar nie uda się żadna ugoda. Kto się sprzeciwia wszelkim ofiarom, ten a limine odrzuca ugodę, ale wtedy powinien to uczynić otwarcie i zasadniczo, a nietylko gwoli agitacyi wyborczej..."

Morawska Orlice myli się twierdząc, że *Narodni Listy* jedynie gwoli agitacyi wyborczej potępiają akcyę ugodową na Morawie. Organ młodoczeski tak samo potępia ugodę w Czechach, jak na Morawie. Potępia ją już dlatego, ponieważ radykalne dzienniki jako najpiękniejszy kwiat życia publicznego uważają walkę, — walkę par principe, byle jaką, a zwłaszcza tak prymitywną, jak walka narodowościowa. Stronnictwa konserwatywne dążą do pewnych pozytywnych celów, do których częściej prowadzi kompromis, niż walka. Ale radykalne stronnictwa zawsze mają na oku głównie negacyę, a zatem też muszą zasadniczo lubować się w walce...

Słowacki powiedział ironicznie:

„Naród ginie, — dlaczego? Aby wieszcz narodu
Miał treść do poematu".

Dzienniki radykalne praktykują to hasło na prawdę. Niech naród zginie w ciągłej, coraz więcej roznamiętnionej walce, niech nie doczeka się ani chwili koniecznego wytchnienia, byle ta walka dostarczała prasie skrajnej wdzięcznego tematu do szumnych deklamacyj, tragicznych przekleństw, przeplatanych równie przesadnymi hymnami. Wszelka akcya ugodowa stanowi — aby użyć modnego w życiu przemysłowem wyrażenia — une concurrence déloyale, naraża na szwank najrealniejsze interesa prasy radykalnej. Dlatego *Narodni Listy* ugodę tak w Czechach, jak na Morawie, potępiają równie szczerze, jak np. *Ostdeutsche Rundschau* ugodę w Tyrolu i Czechach. Jeżeli jednak najwspanialszy poemat byłby zbyt drogo okupiony zgonem narodu, to już w żadnym stosunku prawidłowym nie pozostaje szkoda narodu z wartością tej prozy dziennikarsko-radykalnej!

Nigdzie nie można dziś lepiej studyować tej radykalnej psychozy narodowościowej „walki dla walki", niż w Czechach, gdzie rzeczywiście ani jednej, ani drugiej narodowości nie grozi żadne rzeczywiste niebezpieczeństwo. I pomimo tego wczorajsza uchwała młodoczeskiego komitetu wyborczego przeciwko ugodowej taktyce Zaczka zdaje się zapowiadać, że także ugodowa akcya na Morawie niebawem rozbije się!

* * *

Poniżej przytaczamy ową odezwę młodoczeską, o której wspomina nasz wiedeński korespondent. Wydał ją komitet wyborczy stronnictwa młodoczeskiego w Morawii, który przed paru dniami ukonstytuował się w Bernie, wybierając ponownie dra Stransky'ego swym przewodniczącym. Odezwa ta opiewa jak następuje:

„Wywody posła dra Zaczka o stanie sprawy ugodowej w Morawii są błędne i nie odpowiadają stanowisku, jakie faktycznie naród czeski w kraju tym zajmuje. Pod względem taktycznym owe wywody są chybione i niebezpieczne. Komitet ubolewa, że przewodniczący wspólnego klubu posłów czeskich sejmowych wywody te wygłosił, albowiem przez swój brak otuchy zachwiał on pozycyę czeskich członków komisyi ugodowej i tak już bardzo trudną. Komitet uchwala tedy uczynić na najbliższem zebraniu młodoczeskiego komitetu wykonawczego wniosek o wezwanie wszystkich posłów sejmowych tego stronnictwa, aby zażądali bezzwłocznego zwołania całego sejmowego klubu czeskiego i w klubie tym domagali się zerwania rokowań ugodowych. Jeżeliby żądanie to nie uzyskało większości głosów, wówczas niechaj posłowie młodoczescy wystąpią ze wspólnego klubu, złożą mandaty swe w komisyi ugodowej i w ten sposób udaremnią dalszy ciąg rokowań ugodowych, tych rokowań, które ze względu na wypadki w ostatniej sesyi sejmowej, a w szczególności na mowę bar. d'Elverta i na głosowanie Niemców nad kilkoma żądaniami czeskiemi w sprawach szkolnych, okazały się niczem innem, jak tylko hamulcem niemieckim, wstrzymującym naturalny rozwój narodowy i polityczny narodu czeskiego w Morawii".

Nowa w Polsce forma spółek rolniczych.

Telegramy doniosły, że w Poznańskiem zaczęły się tworzyć stowarzyszenia akcyjne dla kupowania majątków ziemskich i gospodarowania na nich w taki sam sposób, w jaki podobne spółki zarządzają fabrykami, albo bankami. Jest to jeszcze jeden środek ratowania ziemi polskiej od germanizacyi. Myśl tę podał znany w Poznańskiem pracownik na niwie społecznej, p. Jackowski. W rozprawie swej o tym przedmiocie opisuje on podobne gospodarstwa, istniejące w Holandyi, i zapewnia, że one przynoszą ogromne dochody, bo są kierowane przez wytrawnych specyalistów. Następnie zaś wykazuje, że ogół naszego społeczeństwa, w którem jest dużo małych kapitalistów, niewłaściwie lokuje swe oszczędności.

Przy słabym rozwoju przemysłu, krępowanego przemożną konkurencyą zachodu i brakiem surowca, znajdują się kapitaliści nasi rzeczywiście w położeniu niełatwem. Papiery przemysłowe są niepewne. Hipoteki zajęte przez banki aż do granic pewności. Kupują się więc listy zastawne itp., które dają tylko mały procent. W ten sposób przepadają dla rodzin, oraz społeczeństwa rocznie ogromne sumy, gdyż kapitały nasze przynoszą ledwo połowę tego, co przyniośćby mogły, gdyby były włożone w przedsiębiorstwo.

„Kupujcie ziemię!" — wołamy do naszych kapitalistów — powiada p. Jackowski.— Bardzo to piękne wezwanie, ale niezawsze wykonalne. Dla człowieka, który żył wciąż w mieście i gospodarstwa nie zna, kupienie wsi jest źródłem utrapień ciągłych, a często i utraty majątku. Nieliczni właściciele ziemscy, którzy mają u nas gotówkę, ledwo podołać są w stanie administrowaniu swych posiadłości. Dalej, z miejskich i wiejskich kapitalistów mało kto ma tyle, aby mu starczyło na kupienie wsi porządnej; kupowanie zaś folwarków skromnych, albo zagród, nie wszystkim się uśmiecha. Z tych powodów robi się to, co jest najłatwiejszem, tj, za grosz uzbierany nabywa się papiery. Tym sposobem największa część kapitałów naszych dostaje się w obce ręce i służy do wzbogacenia się obcym przemysłowcom. A my obcinamy kupony od papierów, które nam dały obce żywioły za wyciągnięte

---

24)

HURAGAN

Powieść historyczna

przez

Wacława Gąsiorowskiego.

(Ciąg dalszy).

Deschamp posuwał się szybko. Minął Pyzdry, Ciemierów, Giżałki, wytchnął w Choczu nad Prosną, i stąd już przez Stawiszyn, Janków i Koźminek, omijając Kalisz, parł z podjazdem przez Błaszki, Złoczew, Wieluń, Działoszyn do Krzepic. Zjawienie się w tych stronach oddziału Deschampa wywierało skutek niespodziewany. Oto ledwie biały pułkownik ukazał się ze swoim szwadronem gdzie na drodze, wnet okolica dotąd spokojna, wpółsenna, odrętwiała, ożywiała się, budziła. Zanim strzelcy minąć zdążyli osadę, miasteczko, już serca mieszkańców bić zaczynały, już ten i ów zaglądał do lamusa, kędy był broń przechowywał... Zanim Deschamp dosięgnął drugiego postoju, już na pierwszym skupiała się młodzież, zbierała w oddziały pod okiem dawnych oficerów gwardyi narodowej i słała gońce, a posły dookoła. Jeszcze wici wojewody Radzimińskiego, a odezwy: Wybickiego i Dąbrowskiego się nie rozeszły, gdy już jenerał Skórzewski opanował Kalisz, i ku Wrocławowi się zwróciwszy, siła tułającego się żołdactwa pruskiego pochwycił. Sieradz atoli uprzedził wszystkich. Pierwszy z własnego natchnienia ustanowił podatek krwi, po żołnierzu uzbrojonym i umundurowanym z każdych dwudziestu dymów, zanim jeszcze, umocowany przez Dąbrowskiego, Kacper Miaskowski zdążył wyruszyć z Poznania. Łęczyca zaś już wrzała i gotowała się do zniesienia obwarowywujących się Prusaków.

Oddział Deschampa sunął wciąż ku południowi, mając rozkaz wyraźny dotrzeć do straży pruskich. Ba — kiedy straży tej znaleźć nie można było. Pułkownik ciągle był niby na tropie i ciągle, mimo wysiłków, nie mógł dosięgnąć nieprzyjaciela. Na tej pogoni gwałtownej zeszła mu droga aż do Krzepic. Deschamp wpadł w wściekłość, wszystkie rachuby, wszystkie wiadomości najwidoczniej go zawiodły, — zbliżał się już, stał prawie nad samą granicą austryacką — a Prusaków nie było. Niemniej od Deschampa był zirytowanym kapitan Wosiński. Odbiegł go i humor i dawna swoboda. Klął z cicha, zęby zaciskał, a nawet rozmowy z Floryanem unikał. Co prawda, i ten ostatni dziwnie sposępniał. Czy to powietrze wilgotne, przejmujące, dżdżyste, czy ponure, zachmurzone niebo, czy noce długie a ciemne, czy w końcu ta pogoń bezowocna, gorączkowa sprawiły, dość, że cały szwadron stracił na fantazyi... Tak, że gdy mieszkańcy Krzepic zaprzysięgali się, że piechota pruska stoi o sześnaście wiorst pod Kłobuckiem, nikt na to uwagi nie zwrócił... Ot, codzień inne wskazywano im wsi a miasteczka, co dzień strzelcy mieli nadzieję trafienia choć na placówkę pruską i codzień spotykał ich zawód. Konie mordowały się, chudły, mimo obfitych racyj obroku, a żołnierz, kiwając się na siodle, biegł myślą ku rodzinnym stronom i wyrzekał na rozpoczynający się ziąb, na psią służbę, na bezowocny pościg.

W Kłobucku znów zwiastowano Deschampowi nowinę, że oddział Prusaków broni Częstochowy. Deschamp ręką machnął. Szczęka drgać mu zaczęła. Jeszcze jedna bajka, jeszcze jedna fatamorgana, która póty łudzić go będzie, póki w Częstochowie nie zaczną się zaprzysięgać, iż Prusaków widziano o dwie mile na wschód lub na zachód. Szwadron wypoczął w Kłobucku i o zmierzchu ruszył dalej lekkim truchtem ku Częstochowie. Floryan z Wosińskim jęli pełnić swą zwykłą służbę rekonesansową, wyprzedzając co chwila oddział i badając kmiotków... Ujechano tam milę blisko i, o dziwo, wieść o Prusakach nie słabła, lecz rosła w szczegóły.

Częstochowy bronił generał Miller z pięciuset piechoty i dwudziestu armatami, mając nadto około tysiąca zbiegów pruskich, zdolnych do niesienia pomocy,

Deschamp zamyślił się i niespodziewanie złożył radę, do której wezwał porucznika Martina, kapitana Douharai, adjutanta Levitoux i Floryana. Rada zebrała się konno przed frontem szwadronu. W kilku słowach uchwalono rozdzielić się na kompanie i podsunąć się do samej Częstochowy.

Wosiński, dowiedziawszy się o tem postanowieniu a urażony już, iż go w naradzie pominięto, wpadł w pasyę.

— Tchórze, niedołęgi! — krzyczał w uniesieniu. — Ot i ruszyli konceptem!... Bodaj ich i tych Francuzów!... Wielkie głowy!...

— Co waćpan?... Dlaczego!?...

— Pytasz jeszcze. A przecież to chyba jasne!... Gnaj, pędź sześć dni blisko, morduj się, męcz, ciało sobie obtłukuj, byleś się Prusaków dopytał... a gdyś nareszcie poczuł pod nosem zapach świeżyzny, a prochu powąchać ci wolno, to się dziel, podłaź na palcach i zmiataj!...

— Jakże chcecie! — tłómaczył Gotartowski. — Toć przecież podjazd, straż przednia, wywiadowcza służba, sto pięćdziesiąt koni... a tam warownia, mury, wały, które szwedzkim zastępom stawiły czoło...

— To i co?! — oburknął się Wosiński, nie zbity z pantałyku.

— Waszmość pytasz się jeszcze!... Cóż my począć możemy wobec takiej przewagi?!... Oni mogą nietylko bronić się, ale i nas zgnieść. Jakiż stąd dla armii pożytek?...

— Więc opanowanie Częstochowy za nic macie?...

— Człowieku!... Nie unoś-że się... wszak ci to mury, armaty, wspomnij, powtarzam, na Szwedów... Bacz, jaka garstka, jakim oparła się zastępom!...

— Taak!... Lecz rachuj-no wasze, że to nie rycerstwo, nie męstwo, nie determinacya, a nie dzielność oręża sprawiła, tylko owo wdanie się naszej Bożej Rodzicielki!... A chyba nie takim jesteś heretykiem, abyś supponował, że Nasza Panienka z Prusakami wdawać się będzie i luterskie ochraniać bezeceństwa!...

— Zgoda!... Czegoż waść żądasz?...

— Czego żądam?!... Mięsa pruskiego, bitwy, walki!... Żołnierzem jestem, a nie psem gończym!... Waszmości może po myśli są te przeszpiegi!... Tfy!... Do dyaska!... Dać mi tu tych Francuzów... a psia noga!... Bodaj was!...

Wosiński urwał nagle, gdyż tuż przed nim stanął pułkownik.

— O co idzie? — zagadnął Gotartowskiego.

Floryan się zawahał, lecz Wosiński, odgadując pytanie, ozwał się żywo:

— A powiedz-że mu!... Właśnie niech wie!...

— Kapitan Wosiński — objaśnił Gotartowski — proponuje zdobycie Częstochowy!...

— Zdobycie?!... Oszalał! — mruknął przez zęby Deschamp, mierząc Wosińskiego wzrokiem. — Powiedz mu pan, że bez jego rady się obejdziemy!...

A po chwili dodał, niby mówiąc do siebie:

— W sto pięćdziesiąt koni... myśleć o fortecy!!... Ładny oficer!!...

Gotartowski chciał coś odpowiedzieć na usprawiedliwienie Wosińskiego, lecz biały pułkownik wzruszył pogardliwie ramionami i zawrócił na czoło szwadronu.

Wosiński wymiarkował odezwanie się Deschampa i naraz w dawnym żołnierzu gwardyi narodowej krew zawrzała.

— Mości Gotartowski, cóż bo sobie taki myśli!... Za hetkę mnie uważa!... Grymasy pokazuje!... Najmitą jestem, czy żakiem?...

— Cóż znowu!... Waszeć się unosi niepotrzebnie!... Ot plan mu się nie wydał i wszystko. I dziwić mu się nie należy, bo jak Waćpanu wiadomo, rekonesansowi nie wolno wdawać się w zdobywania, jeno wywiadowczą służbę...

— Gadaj wasze zdrów! — przerwał ostro Wosiński. — Nowicyuszem jestem do piorunów?... Nie wąchałem to prochu, pierwszy raz w rekonesansie chodzę?... Powiedz raczej, że Piotra ten biały królik ma pod skórą, a duszę na ramieniu!... Hycać po polach, po drogach, węszyć... to jego rzemiosło!... *En avant* i *en avant!* — krzyczy po całych dniach, myślałbyś, że gdy nieprzyjaciela dopadnie, to go zniesie, rozbije, że siądzie mu na karku, iż aż za stepy przepędzi... a tymczasem, gdy się nareszcie Prusaków dopyta, radę ci zwołuje... Tfy!... Masz ci służbę u Francuza!... Już od tego ich charkotania aż w uszach kręci!... Nie na tom się do Napoleona iść deklarował, aby plecy Prusakom oglądać, takiego niepolitycznego widoku spragnionym nie był!... (C. d. n.)

od nas pieniądze, ale nie mamy wyobrażenia, co się z tymi pieniędzmi dzieje i czy nam nie przepadną przy jakiem przesileniu berlińskiem lub lipskiem.

Wzbogaceni w ten sposób po części i naszymi pieniędzmi przemysłowcy niemieccy przysyłają nam potem swych synów „na Wschód", jako pionierów kultury, i ci wypierają stąd nasze dzieci, jako bogatsi, a więc silniejsi. Zubożenie — to los wszystkich rentierów, bo stopa procentowa zmniejsza się ustawicznie, potrzeby zaś życia drożeją i rosną, a przez zaoszczędzenie jakiejś części procentów chyba tylko bardzo wielki kapitalista wzbogacić się może, o ile przez „krachy" strat nie poniesie. Działy spadkowe kończą żywot kapitału złożonego w papierach, rozdrabniając go na części i cząstki — podczas gdy kapitał na produkcyę zużyty rośnie, żyje, odradza się wciąż i prowadzi do coraz większego dobrobytu.

Powtarzamy bezustannie, że szczytem naszego patryotyzmu dzisiejszego jest utrzymanie i powiększenie narodowego majątku. A tymczasem to trochę gotówki, którą mamy, zużywamy po największej części zupełnie nieproduktywnie, a nawet antinarodowo, dając nasze kapitały na usługi cudzych przedsiębiorstw, co nas uboży, a obcych bogaci.

Trzeba szukać nowych form w ekonomicznym rozwoju, jeżeli nie wystarczają stare a znane. Jeżeli przyjmiemy za pewnik, że ziemia jest najbezpieczniejszą lokacyą kapitału, jeżeli dalej uznajemy ten fakt oczywisty, że gospodarstwo rolne daje zyski znaczne, jeśli jest racyonalnie prowadzonem, to musimy dojść do wniosku, że warto poszukać formy kontraktu między ziemią a kapitałem, któraby ziemi zapewniła korzyści, jakie gospodarstwu rolnemu przynosi obfitość kapitału, a któraby zarazem ochroniła kapitał od strat, jakie przynosi gospodarstwo prowadzone po dyletancku.

Spółki zaregestrowane z ograniczoną poręką zdają mi się formą, w jakiej jednoczyć winniby się nasi kapitaliści w dobrze zrozumianym własnym interesie. Chodzi tu nie o zmniejszenie majątku społecznego dla celów idealnych, w imię ofiarności, ale o pewną lokacyę kapitałów, opartą na ziemi, i dającą większe zyski, niż je dają papiery t. zw. „solidne". Spółki powinnyby kupować tylko majątki dobre, wykończone pod względem gospodarskim, gdzie nie potrzeba ani wielkich budowli, lecz gdzie wystarcza prowadzenie gospodarstwa w dotychczasowym kierunku, aby mieć zysk. Tego rodzaju majątki często nabywać można, np. w razie działów, choroby właściciela, trudności finansowych, spowodowanych właśnie zbyt dobrem urządzeniem majątku za pożyczane pieniądze itp.

Udziały w Spółce nie powinny być zbyt wysokie, aby i drobne kapitały w niej uczestniczyć mogły. Udziały po 5000 byłyby może odpowiednie dla wielkich wsi, po 1000 dla małych folwarków. Ktoś przedsiębiorczy musiałby się zająć zorganizowaniem Spółki, tak, jak się to dzieje przy spółkach dzierżaw, mleczarskich itd. Często byłoby to zajęcie pożyteczne dla właściciela właśnie tego majątku, który ma być sprzedany. Do Spółki musielibyby należeć także rolnicy z zawodu, i ci niechajby w dwóch trzecich stanowili Zarząd. W radzie nadzorczej powinni przeważać kupcy.

Najtrudniej może byłoby o administratorów dla takich spółkowych majątków. Ale kto zna stan naszych urzędników gospodarczych, ten mi przyzna, że coraz więcej pomiędzy nimi spotyka się ludzi uzdolnionych i biegłych w swym zawodzie. W dobrze urządzonem gospodarstwie pod kierownictwem ogólnem jednego z członków zarządu, wielu z naszych urzędników sprostałoby doskonale swemu zadaniu. Znajomość techniki gospodarczej robi u nas ogromne postępy; robotnik wiejski coraz bardziej przywyka do prawidłowego wykonywania pracy. Komplikuje się za to znacznie finansowa strona gospodarstwa, mianowicie kalkulacya sprzedaży i zestawień właściwego rodzaju, oraz kasowość — a pod tym względem byłaby Spółka także o wiele zdolniejsza i rozważniejsza od przeciętnego właściciela ziemskiego majątku.

Z natury rzeczy wynika bowiem, że kasa musiałaby być w Spółce najdokładniej prowadzona. Nie byłoby tak popularnej u naszych dziedziców konfuzyi wydatków gospodarczych i osobistych. Nie byłoby utrzymania dworu, które kosztuje ogromnie wiele, a przez to dochód z gospodarstwa obniża. Administrator płacony gotówką, kupowałby wszystkie produkta wiejskie od gospodarstwa. Nie byłoby lekkomyślnych nieraz kupowań i sprzedawań koni i bydła, oraz nabywania różnych, na pozór tylko potrzebnych rzeczy, pod wpływem nalegań kupców, handlarzy i agentów. Bo większe interesa załatwiałby Zarząd kolegialnie, od czasu do czasu, w porozumieniu z Radą nadzorczą. A lepiej radzi się o interesie każdym w kilka osób, aniżeli go się załatwia samemu tylko, nieraz w pośpiechu, zmęczeniu, bez odpowiedzialności wobec drugich.

Cena ziemi jest względnie zupełnie stałą i z biegiem czasu rośnie, podczas gdy wartość wszelkich akcyi zależy od okoliczności przypadkowych, a procenta od kredytowych i państwowych papierów — i tak już niskie — przez różne konwersye coraz bardziej z biegiem czasu się obniżają.

Rok szósty z bieżącej zachwiały bytem wielu ziemiańskich rodzin w Wielkopolsce i Królestwie, bo tam nieurodzaj. Sprzedaże majątków staną się nieuniknionemi, ku radości hakatystów. Bank ziemski i pokrewne mu instytucye zaledwie cząstkę złego odwrócić zdołają, zwłaszcza, że parcelacya napotyka na trudności.

„Nadarza się teraz kapitalistom naszym wielkim i małym rzadka okazya, a mianowicie zrobienie dobrego interesu w połączeniu z patryotycznym czynem. Majątki będzie można tanio kupować, bo ich będzie wiele na sprzedaż. Lokacya kapitałów w ziemi będzie więc korzystna w każdym razie. Chodzi tylko o założenie spółki, o wprowadzenie w czyn rzeczy i innych dawno już praktykowanej, a więc możliwej i u nas" — tak kończy swe wywody p. Jackowski.

Echa z wód.

Worochta, 28 lipca.

Ogłoszenia kolejowe zachęcają do jednodniowej wycieczki ze Lwowa do Woronienki. Trzydniowy bilet z powrotną podróżą kosztuje II klasą 10 koron 84 halerzy. Dopłata do pociągu pospiesznego wynosi (Lwów-Stanisławów) 2 K. 40 hal. Razem podróż 13 K. 24 halerzy. Cudowne widoki, iście szwajcarskie, a już w niczem nie ustępujące Salzkammergut'owi — sprowadzały mnie tu po raz pierwszy. Ale stanisławowska dyrekcya kolei, snać, aby zebrać kapitał na licznie wypłacane „schmerzgeldy", wydała w tym czasie rozporządzenie, aby nie wydawano do takich powrotnych biletów uzupełniających kart kolejowych z dopłatą 2 K. 40 halerzy, ale aby ściągano całą należytość, to jest **6 K. 10 halerzy**, czyli podróż taka jednodniowa do Beskido kosztuje nie 10 K. 84 halerzy, ale 16 K. 94 halerzy. I czemu? Czy szan. dyrekcyi stanisławowskiej zależy na tem, aby przepiękne miejsca klimatyczne, jak Jaremcze, Tartarów, Worochta dalej się nie podnosiły? Dowody na te mam: j. bilet Nr. 0001 i dowód dopłaty na pociąg pospieszny „Block-Nr. 5,298 L, Blatt Nr. 44" wraz z nazwą są do dyspozycyi w redakcyi *Przeglądu*.

Pensyonat p. Natalii Jordanowej, która w Zakopanem miała dawniej taki zakład, a obecnie objęła po dr. Ebersie „pension Ayam" w Abbazyi, jest tak powszechnie znany i ceniony, że nie trzeba go nawet chwalić, bo sama sława tej firmy jest dostateczną jej rekomendacyą. Nader też liczna kolonia zebrała się w „Jasnej Polanie" i ślicznej „willi p. Zarembiny". Niestety za dwa tygodnie wyjeżdża pani Jordanowa. Ale nie wątpimy, że młody właściciel „Jasnej Polany" p. Epstein wraz z żoną swą pewnie wytęży siły swe, aby zadość uczynić zobowiązaniom p. Jordanowej wobec gości. Od dwóch tygodni śliczna pogoda sprzyja tutejszym gościom do wycieczek w pobliskie malownicze góry i okolice. *B. L.*

Ruch przedwyborczy.

Wobec ponownej kandydatury dra Fruchtmana z m. Stryja, Juliusz br. Brunicki kandydaturę swoją cofnął. — Z kuryi wiejskiej jaworowskiej kandyduje ponownie hr. Jan Szeptycki. — Z m. Sambora kandydatury się mnożą: wymieniają mianowicie profesorów Abrahama i Roszkowskiego ze Lwowa, oraz wiceburmistrza Steiermana, jakoteż dyrektora gimnazyum p. Tomaszewskiego.

W Haliczu na odbytem dnia 23 bm. zgromadzeniu wszystkich sfer powiatu uchwalono jednomyślnie popierać z kuryi wiejskiej kandydaturę p. Stefana Moysy. W poprzedniej kadencyi posłował z tej kuryi gr. kat. ks. Hamorak.

Obóz ludowców żywo już krząta się około wyborów i na cały szereg kandydatów dla czternastu powiatów Galicyi zachodniej. Ludzi zupełnie nieznanych szerszemu ogółowi zgłosili się do komitetów powiatowych następujący kandydaci ludowi: Brzesko, dr. Szymon Benadzikowski; Krosno, Jan Stapiński; Kraków, Franciszek Wójcik; Brzozów, Józef Wrona; Jasło, Wawrzyniec Drewniak; Nowy Targ, Józef Rekucki; Bochnia, Adam Rübenbauer; Dąbrowa, Jakób Bojko; Sanok, Grzegorz Milan; Pilzno, Jan Krajewski; Mielec, Franciszek Krempa; Myślenice, Andrzej Średniawski; Wadowice, Antoni Styła. W okręgu Ropczyce podnoszone są kandydatury dwóch ludowców: Jana Siwuli z Paszczyny i Jana Babicza z Niedźwiady. Ludowcy postanowili też popierać kandydaturę nieludowców: p. Bolesława Żardeckiego dla kuryi wiejskiej łańcuckiej i p. Edmunda Klemensiewicza dla kuryi wiejskiej grybowskiej.

Gazeta Narodowa notuje, że w walce o mandaty z miasta Lwowa (których jest sześć), dr. Rutowski stawia swą kandydaturę dla utrudnienia pozycyi drowi Małachowskiemu. O mandat ubiega się ponownie także minister Piętak. O opróżnione po śp. Soleskim i bł. p. Goldmanie mandaty ubiegają się: dr. Byk, a przeciw niemu dr. Aschkenazy i dr. Lilien, oraz prof. Rydygier, a przeciw niemu — wedle *Gazety Narodowej* — p. Daszyński.

W Brzeżanach ze Złoczowem (kurya miejska) kandyduje ponownie dr. Schätzel, a przeciw niemu organizują się Rusini i postawią swojego kandydata. Również zawziętą wszczęli Rusini agitacyę w kuryi wiejskiej kamioneckiej przeciw dotychczasowemu posłowi, marszałkowi Badeniemu; stawiają oni tam kandydaturę ks. Zielskiego z Milatyna starego.

Z izby sądowej.

Pelplin (Prusy Zach.) 27 lipca.

(60 studentów przed sądem.)

Rozpoczął się tu nowy proces przeciwko studentom o należenie do jakichś tajnych, niebezpiecznych dla całości monarchii niemieckiej związków, istniejących rzekomo w Prusach Zachodnich. Zarzut ten skierowuje prokuratorya przeciw sześćdziesięciu młodzieńcom: gimnazyalistom i byłym uczniom gimnazyalnym. Między oskarżonymi znajduje się 22 uczniów gimnazyalnych z Chełmna, 15 z Brodnicy, 3 z Torunia, 2 z innych miast, 8 kleryków z seminaryum duchownego w Pelplinie, jeden kleryk z Wrocławia, 5 studentów z Berlina, Lipska i Gryfii; 4 młodzieńców z zawodów praktycznych. Wszyscy są oskarżeni o „przynależenie do związków, których istnienie, ustrój i cel utrymane są w tajemnicy przed rządem państwowym", a mianowicie oskarżeni są jako przywódcy owych związków: pelplińscy klerycy: Makowski i Karczyński, gimnazyalista z Brodnicy Wyczyński i student medycyny z Gryfii Markwitz. Akt oskarżenia powołuje się na §. 129 kodeksu karnego, wedle którego spotyka członków tajnych związków kara więzienia aż do pół roku, założycieli i przywódców natomiast kara więzienia od jednego miesiąca do roku.

Prokuratorya uwzględnia jednakowoż także §. 57 kodeksu karnego, wedle którego mniejszą (niż zwykłymi przepisami unormowana) karę wymierza się oskarżonym, którzy w chwili przestępstwa nie ukończyli jeszcze roku ośmnastego i nie mieli pojęcia o karygodności swego czynu.

Akt oskarżenia przytacza jako dowody winy podsądnych: własne zeznania oskarżonych, świadectwo i opinię radzcy policyjnego Zachera z Poznania, świadectwo byłego dyrektora gimnazyum w Chełmnie, dalej radzcy rejencyjnego Steinau Steinrück z Gdańska, członka prowincyonalnego kolegium szkolnego, komisarza kryminalnego Weigta z Torunia, komisarza policyi Mauracha z Gdańska, gimnazyalisty Alfonsa Papenfussa z Chełmna, dawnego prokuratora d-ra Fuchsa z Hamburga, sędziego Borowskiego z Bytomia, adwokata Palędzkiego z Gdańska, sędziego Technaua z Torunia i kilku innych. Na dowód winy bierze też prokuratorya opinię rzeczoznawcy w sprawach piśmiennych i sekretarza prokuratoryi Gestwickiego w Toruniu, oraz skonfiskowane skrypta i druki.

Przestroga dla rodziców.

Obywatel z Królestwa, p. Tadeusz W-ski ogłasza w *Gaz. Warszawskiej* co następuje:

W początkach kwietnia r. b. przyjęliśmy do dzieci bonę Niemkę. Fräulein Berta Sadowska, mimo nazwiska polskiego jest Niemką, która przed trzema laty przyjechawszy ze Szczecina, miasta rodzinnego, pełniła w dwóch domach obowiązki bony. U nas było jej trzecie miejsce. Dobre świadectwa, wyznanie katolickie, powierzchowność i układ sympatyczny, wreszcie polskie pochodzenie, skłoniły do przyjęcia jej warunków, względnie wysokich. Bona, nie guwernantka, co wyraźnie zaznaczam, pobierała 20 rubli miesięcznie oprócz właściwych wygód i towarzyskiego traktowania. Panna Berta chętnie się przyznawała do polskiego pochodzenia ojca, ożenionego z Niemką i wskutek tego nie mówiącego już z dziećmi po polsku. Mimo zniemczenia naszej bony, łudziłem się, że nieprzyjaciółką polskości z tytułu swej procedencyi nie będzie.

Kiedy przed miesiącem, wskutek zalecenia lekarza, miałem rodzinę swą wyprawić nad morze i zdecydowałem się na Połągę, panna Berta rozwinęła nadzwyczajną agitacyę, aby nas skłonić do zmiany projektu. Wykazała rachunkiem, że pobyt w Kołobrzegu taniej wypadnie, a nadto ponieważ młodszej sześcioletniej córeczce naszej kąpiele solankowe byłyby przydatne, ten wzgląd na pierwszy plan wysunęła. Niechętnie, z pewnym skrupułem — bo od lat dziesięciu zasadniczo unikaliśmy wyjazdów wakacyjnych do niemieckich uzdrowisk — przychyliłem się do żądania małżonki, którą bona całkowicie dla swego projektu zjednała. W ostatnich dniach czerwca rodzinę do Kołobrzega wyprawiłem, sam zaś miałem dopiero za miesiąc przyjechać. Stało się jednak inaczej. Już w pierwszych listach pisanych po osiedleniu się w tem morskiem uzdrowisku znalazłem ton pewnego rozczarowania. Chwaliła żona kąpiele, doskonałe powietrze, spacery i różne urządzenia, ale skarżyła się na Frl. Bertę, dziwnie odmienioną. Po tygodniu odebrałem list wyraźnie zaznaczający, że nasza bona występuje w roli zdecydowanej szowinistki pruskiej, szykanującej i obrażającej nasze uczucia narodowe, a nadto, że jej w tem dopomagają inni. „Pobyt w Kołobrzegu staje się nieznośnym" — brzmiało zakończenie listu, zawierającego ogólniki, bez konkretnie wskazanych faktów.

Odpisałem, żeby z boną rozmówić się seryo i jeżeli się nie poprawi, pożegnać ją, zapłaciwszy do końca miesiąca, a ja po telegraficznem zawiadomieniu, przyślę kogoś z Warszawy dla zastąpienia Fräulein Berty. W odpowiedzi na ten list otrzymałem depeszę: „Przyjeżdżaj, nie mogę sobie sama dać rady". Oczywiście, że na takie wezwanie istotnie chorej żony natychmiast pojechałem i od trzech dni jestem w Kołobrzegu. Fräulein Berty już nie zastałem, tylko wyrok sądowy nakazujący żonie mej zapłacić wydalonej bonie łącznie z kosztami sumę 500 marek.

Cóż się okazało? Bona ma szwagra Augusta Knorricha, jednego z najczynniejszych członków agitujących w Towarzystwie zwanem urzędownie „Ostmark", a właściwie H. K. T. Knorrich, adwokat ze Szczecina, bawiąc w Kołobrzegu, wpłynął na zdemaskowanie się Frl. Berty, która i przedtem była już zapaloną hakatystką, tylko oczywiście potrafiła się maskować.

Starszy mój chłopak, dziesięcioletni Staś, jeszcze w Warszawie zwrócił uwagę, że ona w przystępie złego humoru łży dzieci doborowymi niemieckimi epitetami jak np.: *Polnisches Vieh..* Ale panna Berta wyparła się, żona zaś ze względów pedagogicznych zburczała synka w mniemaniu, że robi plotki drażniące. W Kołobrzegu jednak sama usłyszała wspomnianą obelgę. Nie koniec na tem. Dzieci z płaczem skarżyły się na złośliwe przycinki, jakie ich spotykały na spacerze od wielu chłopców i dziewcząt, którym bona sama jeszcze przytakiwała, użalając się, że jej z trudnością przychodzi opiekować się barbarzyńską dziatwą. Szwagier p. Knorrich nazywał dzieci pogardliwie: małymi Warschlapskimi i Krapulińskimi. Przedstawiony przez siostrę żonie, z całą butą wyraził się, że Berta czyni poświęcenie, cywilizując i doprowadzając do kultury dzieci polskie. Oczywiście żona od tak kulturalnego niemieckiego gentelmena odeszła, nie życząc sobie dalszej znajomości. Jednocześnie dowiedziawszy się, że bona nasza jest czynnym członkiem żeńskiej sekcyi Towarzystwa H. K. T., wypowiedziała jej doraźnie miejsce, płacąc za cały miesiąc pensyę, a nadto drugie tyle, czyli razem 40 rubli, na koszta podróży.

Na to widocznie czekano. Knorrich, w imieniu szwagierki wytoczył natychmiast proces i w ciągu dwóch dni zyskawszy termin, otrzymał wyrok rzeczony, skazujący żonę moją na zapłacenie 500 marek. Stąd wiadomy telegram i mój przyjazd. Dla zasady założyłem apelacyę, lecz dla uniknięcia szykan, wniosłem do depozytu sądowego wspomnianą sumę i jutro rodzinę moją wywiozę do Połągi. Polecając uwadze rodaków fakt powyższy, mniemam, że każda rodzina polska, przyjmująca bonę Niemkę, powinna dobrze zbadać, czy pod dach swój nie wprowadza ukrytej hakatystki.

To jedna strona medalu. A teraz co się tyczy Kołobrzegu, oświadczam, że w uzdrowisku tem bawi w r. b. cała falanga członków słynnego Towarzystwa trzech liter. Miejscowi mieszkańcy, jako właściciele hotelów, willi, restauracyj, sklepów, słowem procederzyści, są naturalnie grzecznymi dla Polaków, bo im chodzi o zarobek. Ale współkuracyusze Niemcy na każdym kroku okazują butę i szyderstwo, dochodzące nieraz do tzw. *rabies teutonica*. Przed kilku dniami grono hakatystów zmusiło kapelę do przerwania *potpourri* z „Halki", grożąc rozbiciem instrumentów. Właściciel kawiarni, w której się gromadzi polskie towarzystwo, nie rozkłada już dwóch pism poznańskich, przedtem zaabonowanych, gdyż *Ostmarkverein* zagroziło mu bojkotem! Często się zdarza głośne wymyślanie osób rozmawiających po polsku, a nie dalej jak onegdaj zdarzyło się, iż p. R. z Krakowa, oburzony prowokacyą jakiegoś krzyżaka, pogroził mu laską, za co został pociągnięty do odpowiedzialności karnej.

Kto nie ma nerwów jak postronki, komu wstyd, że za swoje pieniądze słyszy obelgi Hakaty, wymierzane na wszystko co polskie i słowiańskie, ten umyka nie tylko z Kołobrzega, ale i z granic państwa, przechwalającego się kulturą i „bojaźnią Bożą", a uprawiającego gburowatość godną barbarzyńskich Germanów i niechrześcijańską nienawiść bliźniego.

KRONIKA.

Lwów 29 lipca.

Namiestnik przybędzie dnia 1 sierpnia do Lwowa.

Wiadomości urzędowe. Minister skarbu zamianował adjunkta głównej fabryki tytoniu w Krakowie Arnolda Kolischera kontrolerem fabryki tytoniu w Zabłotowie, a adjunkta fabryki tytoniu w Jagielnicy, Włodzimierza Lewickiego kontrolerem tamże.

Koncesya na kolej. Ministerstwo kolei żelaznych udzieliło właścicielowi dóbr i prezesowi rady powiatowej w Lisku, inżynierowi Baldwinowi Ramułtowi w spółce z właścicielem dóbr Bolesławem Zatorskim w Wańkowej i adwokatem dr. Alfredem Bureszem we Lwowie zezwolenia na podjęcie przedwstępnych robót technicznych na okres jednoroczny, celem wybudowania wąsko-torowej kolei lokalnej z miejscowości Cisna przez Dołżycę, Buk, Zawój, Tworylne, Chmiel, Smolnik, Żurawin, Chaszczów i Hołowiecko, mającej być połączoną z projektowaną koleją państwową Sambor-Granica węgierska pomiędzy Strzyłkami a Łopuszanką-Chominą.

Termin zjazdu przemysłowego w Krakowie został zmieniony; zjazd odbędzie się w dniach od 18 do 21 września. Motywem odroczenia zjazdu o kilka dni było to, iż w dniach 11 i 12 września odbędą się wybory. Program ogólny zjazdu jest następujący: Wtorek dnia 17 września o godz. 8 wieczorem zebranie towarzyskie celem poznania się. — Środa dnia 18 września o godz. 9 rano Msza św., a o godz. 10 rano otwarcie zjazdu i I plenarne posiedzenie do godz. 1 po południu. O godz. 3 po południu obrady sekcyjne; o pół do 8 wieczorem przedstawienie w teatrze. — Czwartek dnia 19 września: O godz. 9 rano II plenarne posiedzenie. O 3 po południu obrady sekcyjne. O 9ej wieczorem bankiet. — Piątek dnia 20 września. O g 9 rano posiedzenia sekcyjne; o 3 popołudniu III plenarne posiedzenie i zamknięcie zjazdu. Wieczorem o godz. 8 zebranie towarzyskie. — Na sobotę dnia 21 września projektowana jest wspólna wycieczka poza Kraków.

Jenerał-gubernatorstwo wileńskie — jak przed para dniami donieśliśmy — będzie zapewne zniesione, bo oto kierownictwo sprawami, któremi zarządzał jeneralny gubernator wileński, grodzieński i kowieński, powierzył car ministrowi spraw wewnętrznych.

Ślub. Dnia 3 sierpnia o godz. 8 wieczorem odbędzie się w Peczeniżynie ślub panny Zofii Linde, córki tamtejszego starosty Stanisława i Wandy Lindów, z drem Wincentym Markiewiczem, adwokatem krajowym w Nadwórnie.

Charakterystyczne tytuły. Jedno z lwowskich liberalno-bezwyznaniowych pism doniosło, że podczas ostatniego rozpędzania wybijaczy szyb policyant uderzył jednego z tych wybijaczy pięścią w pierś tak silnie, że uderzony pod mur się zatoczył — i zatytułowało to doniesienie tak: „Okropny wypadek". W parę dni potem to samo pismo, donosząc o zamachu na ks. kanonika Hausmana u stóp ołtarza w katedrze, zatytułowało swe doniesienie jako „Przykre zdarzenie"

Konkursa rozpisują: Rada szkolna krajowa na posadę dyrektora męskiego seminaryum nauczycielskiego we Lwowie w VII randze; termin do 10 sierpnia.

W sprawie zamachu w katedrze. Ks. infułat Hausmann ma się dobrze, a rana na głowie goi się prawidłowo. Wasylczyszyna oddała wczoraj policya sądowi. Zarząd zakładu kulparkowskiego, zapytany o Wasylczyszyna, zawiadomił policyę, że człowiek ten został z zakładu wypuszczony po zupełnem wyleczeniu go z choroby umysłowej. Lekarze, którzy badali go w parę godzin po jego zbrodniczym czynie, orzekli, że jest on zupełnie zdrów na umyśle.

Lokalny zatarg. Mieszkańcy i letnicy w Zakopanem założyli protest przeciw uchwale tamecznej Rady gminnej, mocą której dawna nazwa ulicy „Chramcówki", zmieniona w roku ze-złym na „ulica Jagiellońska" (ku uczczeniu jubileuszu Uniwersytetu Jagiellońskiego), ma być napowrót zaprowadzona. Ponieważ na uregulowanie i przedłużenie ulicy „Jagiellońskiej" wielu właścicieli gruntów odstąpiło potrzebne pasma ziemi bezpłatnie, przeto teraz ofiarodawcy zamierzają cofnąć swą darowiznę, jeżeliby ona miała służyć dla „Chramcówek", a nie dla „ulicy Jagiellońskiej".

Honorowe obywatelstwo nadała Rada m. Rymanowa p. Włodzimierzowi Truskolaskiemu, prezesowi Rady pow. w Sanoku.

W kościele św. Anny we Lwowie odprawił wczoraj ks. kanonik Świsterski solenną Mszę św. jako w 501-szą rocznicę wzniesienia przez cech krawców lwowskich kaplicy drewnianej, w miejsce której w r. 1671 (a więc przed 330 laty) król Michał Korybut wybudował istniejący po dziś dzień kościół. W r. 1400 był we Lwowie strejk krawców, zakończony krwawą bójką na dzisiejszej ulicy Janowskiej u wylotu Kleparowskiej. Winowajców wnet ogarnęła jednak skrucha i oto postawili drewnianą kaplicę ekspiacyjną pod wezwaniem patronki krawców, św. Anny. Pamiątkę tę uczczono wczoraj jako w najbliższą niedzielę po uroczystości św. Anny, obchodzonej w ubiegły piątek.

1)

CYRK

nowela

przez

Edwarda Rod'a.

Och! jakże lubiłem cyrk, gdy byłem dzieckiem! Co prawda i dziś nawet nie gardzę temi wesołemi przedstawieniami, nie tylko woltyżerów i woltyżerek, ale nawet akrobatów i klownów. Nieraz wspomnienie jakieś dalekie ciągnie mnie nawet do bud na jarmarku, a przy dźwiękach fałszywych akordów orkiestry, wspomnienia cisną się... plączą... — i bawię się, jak dawniej w małem miasteczku, gdzie upłynęły pierwsze piętnaście lat życia mego.

Pewnego dnia, gdym wracał ze szkoły, z tornistrem na plecach, spotkałem ciotkę swoją, panią prezydentową miasteczka naszego.

— Wielka nowina! — rzekła do mnie. — Dopiero co dowiedziałam się, że cyrk zjeżdża do naszego miasta.

Szeroko otworzyłem oczy, nie pojmując co znaczy słowo „cyrk".

— Cóż, zapomniałeś? Cyrk Kneistów. Przecież byłeś ze mną na przedstawieniu; pamiętam dobrze. Przypomnijże sobie. Akrobaci pokazują różne sztuki, klowny sceny wyprawiają, woltyżerowie na pięknych koniach jeżdżą... Było to trzy lata temu...

Wtedy przypomniałem sobie... Ale to tak już dawno... dawno... nie chodziłem jeszcze do szkoły, zaprowadzono mnie na przedstawienie... Co to było? Nic a nic nie pamiętam, wiem tylko, żeśmy poszli na Plac Broni... Tyle rzeczy przeszło potem! Nauczyłem się czytać, grać w kręgle, pozwolili mi wychodzić samemu... biłem się z kolegami... zaczęli mnie karać za nieposłuszeństwo... Owo przedstawienie wyszło mi całkiem z myśli. Po słowach ciotki zostało tylko wrażenie, że zobaczę coś nowego i coś bardzo pięknego.

W tem przechodziła koło nas sąsiadka, pani Lutier. Kilka słów usłyszanych obudziło jej ciekawość; zatrzymała się.

— Kneistowie są już niedaleko ztąd — mówiła ciotka. — Pisali do męża mego, prosząc „o pozwolenie". Zjadą z pewnością za ośm lub dziesięć dni. Dobrze im się podobno wiedzie; bardzo przyzwoity cyrk mają.

Nadstawiłem uszy. — Co to jest klown? — pytałem.

— Zobaczysz!...

Wolałbym dokładniejszą odpowiedź, — ale pani Lutier coś zaczęła mówić, co wcale mnie nie obchodziło, zobaczywszy więc kolegę mego Maryusza Roch, którego ojciec miał sklep z zabawkami, pobiegłem powiedzieć mu „wielką nowinę".

Był on o dwa lata starszy odemnie i doskonale pamiętał przedstawienia Kneistów. Zapewniał mnie, że chodzili na linie, przeciągniętej z dachu poczty, aż na szczyt drzewa, które się wznosiło w środku Placu Broni. Naprzód szli z łańcuchami na nogach, potem z workiem na głowie, w końcu ciągnąc taczkę, w której chłopiec siedział. Nie chciałem z początku wierzyć, ale gdy Maryusz zaczął tłómaczyć i przekonywać, uwierzyłem w końcu.

Jeszcze dnia tego babka moja obiecała mi, że pójdę na Kneistów. Łatwo skłoniła się do tego, Kneistowie bowiem nie byli lada skoczkami na linie, ale bardzo porządni i przyzwoici ludzie. Znano ich od wielu już lat; przybywali co czas jakiś do naszego miasteczka, niby jaskółki na wiosnę. Mówiono o starym Kneiście, ojcu dzisiejszej rodziny, iż dostał ataku apopleksyi na scenie, w oczach przerażonej publiczności, przedstawiając jakąś pantominę. Później, z roku na rok, kształciła się i pomnażała trupa. Wszyscy lubili ich, nie za obcych, ale jakby za krajowców mając i szanowali powszechnie.

Kneistowie przybyli późno wieczorem. Chociaż niektórzy mieszkańcy miasteczka naszego czuwali, chcąc ich powitać, nazajutrz dopiero dowiedzieli się o ich przybyciu, gdy ujrzeli na placu urządzający się cyrk, który stawiała sama trupa. Ławki w amfiteatr kolisto ustawione, wysoki maszt na środku sceny, a wszystko przykryte dachem z nieprzemakalnego płótna opartym na krokwiach.

Pracowali wszyscy koło urządzenia, a próżnująca część ludności miasteczka i dziatwa chodziła patrzeć na nich. Orkiestra w zielonych mundurach i ceratowych czapkach; służba rosła i silna, która pracę najcięższą wykonywała; dwóch pięknych chłopców, braci Kneistów, eleganckich, ufryzowanych, z których jeden był tak delikatny, jak panienka, a tak silni obadwa, że podnosili grube belki, jakby laseczki. Co czas jakiś, w drzwiach powozów, wielkich jak domy, w których mieszkali, ukazywała się wdowa Kneistowa, z miną poważną, siwemi włosami, czarno ubrana, albo która z córek — a każda wyglądała na strojną miejską damę.

Publiczność zbierała się na placu gromadami, przypatrując się wznoszącemu się budynkowi. Najstarszy cieśla miejski, patrząc na wiązania dachu, kiwał głową, oceniając moc jego i lekkość wiązania, a profesor Lemenager, którego rozum i doświadczenie oceniali wszyscy, odezwał się, patrząc na nich.

— Niech sobie co chcą mówią: próżniacy nie podejmą się podobnego rzemiosła!

Codziennie wzmagała się niecierpliwość: chciano, by jak najprędzej zaczęły się przedstawienia. Po każdej lekcyi wybiegałem patrzeć, o ile postąpiła robota. Przylepiono ogromne afisze różowe, na rogu ulic. Afisze te wyobrażały mężczyzn i kobiety w trykotach, bujających się na trapezach, chodzących na drucie wysoko zawieszonym, stojących na głowie, z armatą na plecach, lub też jeden na drugim stojąc tworzących piramidę. Jedni byli łysi, z twarzą białą, z bezmiernie szerokiemi ustami, w różnobarwnych strojach. Skakali, tańczyli, bili się

— To klowny — mówił Maryusz, wskazując na tych ostatnich.

Każdy z przechodzących zatrzymywał się przed afiszem, pytając: Czy naprawdę oni to wszystko robią? — Czy naprawdę takie przedstawiają sztuki? Najwięcej podziwiano rozmaitość, która panowała w przedstawieniach.

— Przynajmniej łamią sobie głowy, by coś nowego wymyślić — pracują!

Nareszcie cyrk był skończony. O siódmej godzinie wieczorem, nastąpił pochód przez ulice, z muzyką na czele; cała trupa w błyszczących strojach. Dwóch młodych Kneistów, w złocistych szpencerach, w hełmach z piórami, jechało na większych koniach, bogatymi rzędami okrytych. Panny Kneist, w amazonkach, jedna w szafirowej, druga w zielonej najmłodsza w fiołkowej bramowanej złotem w kapeluszach także z piórami; reszta trupy w rozmaitych charakterystycznych strojach.

Muzyka grała marsza wojennego.

Za tym pochodem szło mnóstwo ludzi i dzieci, tak, że się utworzył tłum.

Dwóch błaznów poprzedzało muzykę.

Jeden z błaznów, zwany Henryk Szalony, niski, stary, z białą brodą, skakał i wykrzywiał się najzabawniej, jak mały chłopiec; drugi Dżon-Dżon, z uszczęśliwioną twarzą i głupim, lecz poczciwym uśmiechem, szedł powoli koło najmłodszej z Kneistówien, która zwała się Jadwigą.

Wszystkie okna zapełnione były ciekawymi, a pochód ten, z muzyką, brzękadłami i dzwoneczkami, sprawiał hałas taki, że nasz ogromny stary pies wybiegł przed bramę i zaczął donośnie szczekać grubym swym głosem.

Naraz kary koń Jadwigi wierzgnął, zaczął skakać i o mało klownów nie poprzewracał... Dżon-Dżon przeląkł się i uciekł, udając przestrach jeszcze większy, co ogromnie zabawiło małych chłopaków, idących za nimi. Nie tracąc fantazyi, młoda amazonka uspokoiła wybryki końskie, silną ręką wymierzając karę szpicrutą i z miłym uśmiechem kłaniając się rozbawionej publiczności. (C. d. n.)

Nadużycie w Nowym Sączu. Z powodu stwierdzonych przez komisyę Wydziału krajowego nadużyć przy budowie koszar w Nowym Sączu, Wydział krajowy wstrzymał dalszą budowę i odmówił gminie m. Nowego Sącza bezprocentowej pożyczki w kwocie 200.000 K., o jaką gmina na cele tej budowy prosiła.

Kościół w Małowodach. W numerze czwartkowym (z 25 lipca) donieśliśmy, że w Małowodach pow. podhajeckiego, poświęcił ks. proboszcz Konarski z Rosochowaćca świeżo wzniesiony staraniem mieszkańców tej wsi piękny murowany i blachą kryty kościółek. Dziś na podstawie listów, jakie włościanie tej wsi pisują do członków rodziny dawnego jej właściciela ś. p. Nereusza Korczak Jarosyńskiego musimy o tyle sprostować podaną wyżej wiadomość, że nie było to poświęcenie kościoła świeżo zbudowanego, ale tylko rozszerzonego, przyczem podwyższono mury, i pokryto nowym dachem świątynię, zbudowaną w r. 1857 kosztem szermierza z r. 1831 i 1848, więźnia stanu a dziedzica tej wsi, ś. p. Jarosyńskiego, przyczem gmina dawała wówczas darmo całą robociznę. Dziś ta wioska należy już do kogo innego, ale włościanie tamtejsi utrzymują stały przyjazny stosunek z rodziną swego dawnego dziedzica, zasięgają u niej rady we wszystkich ważnych wypadkach i oto teraz ją listownie zawiadomili o wszystkich szczegółach poświęcenia powiększonego kościoła.

Ze zdrojowisk. Do Krynicy przybyło w czasie od 17 do 20 lipca na kuracyę 259 osób.

Pruska komisya kolonizacyjna nabyła znowu za pośrednictwem p. Chrzanowskiego, znanego ze sprzedaży dóbr Katarzynowa, dobra Półkowo, pod Wąbrzeźnem, należące do p. Wierzbickiej. Dobra te mają 3600 morgów obszaru. Komisya kolonizacyjna zapłaciła za nie 557.000 marek, z czego 30.000 m. przypadło p. Chrzanowskiemu za pośrednictwo. Jak sobie czytelnicy nasi przypomną, rodzina p. Chrzanowskiego po głośnej transakcyi katarzynowskiej wyparła się go publicznie za jego operacye majątkami ziemskiemi na rzecz Prusaków, a całe społeczeństwo wielkopolskie surowo go potępiło.

Pożar. W Bełzie na przedmieściu Zabłocie wybuchł pożar niedaleko dworca kolejowego w starym młynie, używanym obecnie na mieszkanie przez włościanina Żyda. Realność ta, ubezpieczona w krakowskiem Tow. wzaj. ubezp., była już przed kilku laty nawiedzona pożarem, a podejrzenie o podpalenie padło na właściciela jej; brakło jednak niezbitych dowodów. Obecnie są bardzo poważne poszlaki, że ten pożar wzniecił znowu sam właściciel przy pomocy swej żony; tedy oboje ich uwięziono.

Pożyteczne Stowarzyszenia. W Krakowie powstały prawie równocześnie dwa stowarzyszenia, mogące sztuce i nauce naszej oddać poważne usługi. Mówimy o towarzystwie dla popierania polskiej sztuki stosowanej oraz o „towarzystwie opieki nad polskiemi zabytkami sztuki i kultury“. Celem pierwszego jest pielęgnowanie rodzimego stylu i swojskich motywów w przemyśle artystycznym, torowanie mu drogi na rynkach cudzoziemskich, roztaczanie opieki nad talentami, pracującymi w polskim zdobnictwie; celem drugiego inwentaryzowanie i wyszukiwanie dawnych zabytków sztuki i kultury swojskiej, ochrona tych zabytków przed zniszczeniem, nabywanie i gromadzenie ruchomych przedmiotów archeologii rodzimej, wreszcie rozbudzanie znajomości i zamiłowania do pamiątek przeszłości. W zakresie swej pożytecznej i kulturalnej pracy towarzystwo krakowskie posługiwać się będzie urządzaniem odczytów i pogadanek, wydawnictwem własnego czasopisma, utworzeniem biblioteki z dzieł fachowych i prenumerowaniem fachowych czasopism, utrzymywaniem stosunków z instytucyami pokrewnej natury, wreszcie ustanawianiem delegatów poza obrębem Krakowa, mających działać z ramienia i dla celów towarzystwa.

Sądzimy, że byłoby bardzo dobrze, aby zarządy tych stowarzyszeń porozumiały się z kompetentnemi osobami we Lwowie w celu utworzenia dla tych zadań oddziałów lwowskich, które objęłyby wschodnią część kraju. Takie oddziały tak jednego, jak i drugiego Towarzystwa, miałyby wiele wdzięcznego pola do pracy.

Nawozy sztuczne. Od jednego z większych właścicieli z okolicy Przeworska otrzymał *Rolnik* następujące pismo: „W ciągu ostatnich 8 lat sprowadziłem 24½ wagonów nawozów sztucznych fosforowych (tomasyny i superfosfatu). Przy każdej przesyłce posyłałem próbki do zbadania w stacyach doświadczalnych. — Rezultat analizy był następujący: przy 10½ wagonach zawartość gwarantowanych składników została wykonaną, przy 2 wagonach zawartość była wyższa, przy 12 wagonach analiza wykazała brak składników w porównaniu do gwarancyi, a to przy 9 wagonach różnica wynosiła 0·21—0·67%, zaś przy 3 wagonach nawet powyżej 1%. Sprawa to, jak widzimy, ogromnej wagi dla rolników, że bezwarunkowo należy zawsze posyłać próbki nawozów do analizy, jeżeli w większej części wypadków nie chcemy się narazić na znaczne przepłacanie towaru w stosunku do jego wartości“. Pismo owego obywatela dowodzi też niezbicie, jak niezbędną jest ustawa dla ochrony przed lichwą nawozami sztucznymi, jakiej żądał w ubiegłej sesyi sejmowej poseł Sękowski. Ustawa taka jest tem konieczniejszą, że często analiza chemiczna nawozów sztucznych połączona jest z trudnościami i znaczną stratą czasu, a dla niezamożnych rolników także i kosztowna.

Książka adresowa „Quo vadis“? pojawiła się w Rzymie. Widocznie tytuł, a przedewszystkiem nadzwyczajna popularność powieści H. Sienkiewicza, dały do niej powód. W głównych hotelach rozdają ją darmo. Jest to włoskie tłómaczenie, ilustrowane, polskiej powieści, uzupełnione kilkunastu ogłoszeniami, przerywającemi jej tekst. Pośród opisów Ligii i Winicyusza, uczty Nerona, sceny w termach, cyrku, czyta się ogłoszenia: „Kuracyi Kneippa“, „Moradelli di Bologna“, „Wellin a Molany“, „Vermouth di Torino“, „Velocypedów Prinetti“ (dzisiejszego ministra, który ma wielką fabrykę), „Wody Vichy“, „Nocera Umbra“ elixirów rozmaitych itd. itd. Dla spekulanta-wydawcy [illegible] bolońskiego [illegible] powieści. Takiej popularności chyba Sienkiewicz nie pragnął.

Ofiary. Na odbudowę spalonej części klasztoru na Jasnej Górze nadesłał J. W. z Dolżanki (z podziękowaniem NMP. za otrzymane łaski) 4 K.

Zmarli. W Schodnicy ks. Andrzej Lusiński, ekspozyt tameczny, lat 39. — W Mikulińcach dr. Franciszek Bloch, lekarz, lat 39. — W Drohobyczu Franciszek Lewicki, emer. sędzia, lat 76.

Stan powietrza. T. o g. 6 rano + 18 w poł. + 25 R. Bar. 769. Podnosi się. [illegible] pogoda.

Myśli. Czasy się zmieniają, a z nimi i przysłowia. Oto jedno z nich, zmodernizowane w duchu czasu: „Dopóty dzban wodę nosi, dopóki nie założą w kuchni... wodociągu“.

Małżeństwa zawierane bywają z miłości, z wyrachowania lub, co się najczęściej zdarza, z głupoty.

Jeżeli chcecie dobrze życzyć solenizantowi, życzcie mu lekkiego serca i ciężkiej portmonetki.

Złoto leży i na ulicy, ale tylko dla tych, którzy mają umiejętność szukania go tam, gdzie je inni zgubili.

Nękają cię zgryzoty? Myśl o jutrze. Uśmiecha się do ciebie szczęście? Myśl o dniu wczorajszym.

Nieszczęśliwa miłość w tem podobna do malaryi, iż do wyleczenia się z jednej i z drugiej konieczna jest zmiana miejsca pobytu i powietrza.

Oko ma dziwne prawa i przywileje: wzrusza tem więcej, im mocniej jest zamglone — *łzą*.

Nietylko ciało może być gruboskóre: obojętność jest zgrubieniem skóry duszy.

Nienawiść widzi ostro, miłość ostrzej, zazdrość najostrzej, gdyż równa się ona miłości *plus* nienawiść.

Często łatwiej jest się nauczyć, niż zapomnieć.

Filozofami nazywamy najczęściej tych, którzy doszli do przekonania, iż zagadki życia nie są możliwe do rozwiązania.

To dlatego.

— Gdzie jest teraz twój ojciec?

— Mój ojciec, panie profesorze jest już od pięciu lat w grobie.

— A... to dlatego ja go tak rzadko teraz widuję!

Repertuar teatru miejskiego we Lwowie. Dziś, w poniedziałek po raz IIgi „Boubouroche“ i „Było to pod Wagram“. — We wtorek po cenach zniżonych (wznowienie) „Dom waryatów“ krotochwila w 3 akt. K. Laufsa. — We środę po cenach zniżonych „Damy i huzary“ kom. w 3 aktach Al. hr. Fredry ojca. — We czwartek po cenach zniżonych „Wróble“ kom. w 3 aktach Labiche'a. — W piątek nie będzie przedstawienia. — W sobotę po raz Iszy „Zgrzebna koszula“ (das grobe Hemd) sztuka w 4 akt. K. Karlweisa.

Literatura i sztuka.

Z teatru. W sobotę odegrano najpierw 2-aktową komedyą Courtelina „Boubouroche“. Z komedyą tą, która we Francyi uchodzi za coś niemal klasycznego w swoim rodzaju, zapoznali nas już trzy lata temu artyści krakowscy podczas swej gościny we Lwowie. „Boubouroche“ ma tło farsy, na którem jednak z prawie molierowskiem mistrzowstwem scharakteryzowaną jest postać Boubouroche'a, naiwnego Samsona, którego nowożytna Dalila w postaci szwaczki Adeli wodzi za nos i oszukuje jak zechce, bo nawet wtedy, gdy Boubouroche znajduje u niej w szafie schowanego kochanka, potrafi ona weń wmówić, że jest niewinną. Boubouroche to popisowa rola artysty Romana, który przed trzema laty zapisał się nią trwale w pamięci Lwowian. I onegdaj był p. Roman świetnym, bo ta naturalność i pewna rubaszność w objawach temperamentu, która jego grę zwykle cechuje, tu zupełny tryumf odniosła. Wybuchy wściekłości i żalu tego dorosłego dziecka, jakim jest Boubouroche, były oddane tak, że lubo komiczną formą swoją rozśmieszały widza, nie pozwalały mu jednak zapomnieć o tem, że w samym Boubouroche'u rozgrywa się tragedya uczuć. Rolę przewrotnej Adeli, którą przed dwoma laty grała pani Zapolska, grała pani Rotter i wcale dobrze wywiązała się ze swego zadania.

Potem odegrano jednoaktową, bardzo starą sztukę Dumanoira i Banvillea pt. „Było to pod Wagram“. W sztuce tej znowu znalazł pole do popisu artysta Chmieliński. Grał on rolę weterana armii napoleońskiej Champeina, który do swego kolegi Vergeota (p. Kwiatkiewicza) żywi niechęć za to, że ów Vergeot pod Wagram podjął się niebezpiecznej wyprawy z depeszą, wyprawy, do której na ochotnika zgłosił się Champein, ale nie mógł jej natychmiast wykonać, bo musiał udać się na ambulans, aby mu opatrzono ranę. Tak Champein stracił sposobność do bohaterskiej zasługi i za to się gniewa na starego przyjaciela. Ostatecznie obu weteranów godzą ze sobą siostrzeniec jednego a córka chrzestna drugiego, tak, że zgodą staruszków, a małżeństwem młodych kończy się sztuka. Postać Champeina obfituje w wiele rysów charakterystycznych: jestto staruszek, w którym zrzędność, kaprysy i dokuczliwość dziwnie się łączą z wewnętrzną dobrocią serca i pewnym polotem bohaterskim. P. Chmieliński grał go prześlicznie, w tym szlachetnym stylu, jaki zawsze cechuje grę tego artysty. P. Kwiatkiewicz miał mniej skomplikowaną rolę Vergeota i odegrał ją bardzo dobrze. Parę młodych zakochanych odegrali zupełnie poprawnie panna Michnowska i p. Klimontowicz.

* **Zakopane przed stu laty.** W tegorocznym Pamiętniku Towarzystwa Tatrzańskiego znajdujemy pracę p. t. „Zakopane przed stu laty,“ podającą ciekawe szczegóły i daty z przeszłości Zakopanego. Autorem jej jest dr. Stanisław Eliasz-Radzikowski, syn jednego z najwybitniejszych taterników, autora najlepszego przewodnika po Tatrach.

W pracy swojej wywodzi najprzód dr. Radzikowski, że Zakopane powstało mniej więcej około r. 1578, w tym roku bowiem otrzymało ono od króla Stefana Batorego przywilej, oznaczający granice posiadłości, oraz „pożytki i wolności,“ jakie poddanym zakopańskim miały przysługiwać. Przywilej ten wznowił król Michał Wiśniowiecki w r. 1670, a potwierdził potem August II w r. 1722. Zakopane założyli wolni osadnicy i rządzili się bez sołtysów, tak zwanem prawem „wałaskiem,“ czyli wołoskiem.

Dowodem dość późnego powstania Zakopanego jest także to, że najlepsze hale w Tatrach okolicznych pozabierali już wówczas dla siebie mieszkańcy innych dawniej istniejących wsi. I tak np. hale za Giewontem należą do górali z Szaflar, a polany za reglami posiadali dawniej górale z sąsiedniej wsi, np. polany żywczańskie posiadał niejaki Jędrzej Jarząbek z Bańska. Ów Jarząbek sam osobiście udał się do króla Zygmunta III, wyprosił sobie ów płat ziemi i uzyskał następujący list królewski:

Pracowity Jędrzej Jarząbek ze wsi Bańska przyszedłszy do Warszawy do nas Zygmunta III króla polskiego w sobotę przed św. Wojciechem w roku tysiąc sześćsetnym trzydziestym, który upraszał, aby mu polany Żywczańskie zwanej ograniczenie czyli Cyrkiel wydaliśmy. A ta polana Żywczańskie zwana leży we wsi Zakopane w starostwie nowotarskiem. Na którą prośbę w ten sposób wydajemy ograniczenie czyli cyrkiel, jako to:

Najprzód na żleb od Wierchu Opalonego, powtóre na żleb Spadowy bez puste pole, po trzecie na żleb z pod Świniej Skały, po czwarte na żleb od Dziadów bez puste pole aż na Suchy żleb, po piąte na jawora na dół Suchym potoczkiem bez las Starościński na troisty potok, po szóste na jedle, na buka i na błocisko na dół potoczkiem aż na lipę bez puste pole, z pustego pola na Biały potok — ograniczono jest. Które ograniczenie czyli cyrkiel dla wiadomości i pewności pracowitemu Jędrzejowi Jarząbkowi ze wsi Bańska wydajemy i podpisem naszym aprobujemy.

Dano w Warszawie w sobotę przed św. Wojciechem w roku 1630.

Zygmunt Trzeci król polski.

Czytając list królewski, nie można na chwilę wątpić, że „pracowity Jędrzej Jarząbek“ dyktował sekretarzowi granice i stąd widzimy takie charakterystyczne wyrażenia, jak: „na żleb od Dziadów bez puste pole“, „na jedle“, „na buku“ i „na błocisko“.

Ciekawy jest jeszcze podany w pracy dra Radzikowskiego spis rodów góralskich w Zakopanem z r. 1765., kiedy Zakopane liczyło około 1000 mieszkańców. Ze spisu tego okazuje się, że najwybitniejsze rody góralskie utrzymały się do dziś. Rej między nimi liczbą i zamożnością wiedli Gąsienicowie, których ród związał swe nazwisko z jednym z najpiękniejszych jezior tatrzańskich: z Czarnym stawem Gąsienicowym. Dziś ród ten zubożał, ale utrzymał najpiękniejszy typ góralstwa zakopańskiego. Po Gąsienicach idą Bachledowie, Jarząbki, Chramcowie, Ustupscy, Chycowie, Zwiacze i Ślimacy.

Praca dra Radzikowskiego kończy się barwnie napisanym rozdziałem, przedstawiającym wesele, jadące z Zakopanego do fary w Nowym Targu. Bardzo zajmującym jest także rozdział, w którym autor podaje różne szczegóły etnograficzne z przeszłości Zakopanego. Z rozdziału tego wynika, że Tatry w oczach ludzi minionych wieków pełne były cudów i nadzwyczajności, w które wierzyli nietylko sami górale ale i królowie. Oto król polski August II dostaje od górali tatrzańskich w podarunku kości rzekomo z jakiegoś smoka i zawiesza je wśród swoich zbiorów w Dreznie. Król Stanisław August otrzymuje szczątki okrętu, który rozbiwszy się na morzu wyłowiony został w Morskiem Oku, i umieszcza je na Zamku w Warszawie. Wiara, że Morskie Oko jest jakimś podziemnym kanałem połączonem z morzem i dziś jeszcze trwa wśród okolicznego ludu. Autor notuje też dawną legendę, że na dnie Morskiego Oka leży od potopu świata ryba, bardzo stara, bo jej grzbiet zarósł mchem i pleśnią. Istniała nadto u górali bardzo długo wiara w drogocenne skarby ukryte w Tatrach. Wiara ta rozbudzona została zwłaszcza za Stanisława Augusta, kiedy do Tatr przybyła komisya skarbowa celem odnowienia kopalń tatrzańskich. Lud okoliczny mniemał wtedy, że skoro komisya poszukuje w Tatrach jakichś skarbów, to musi już mieć o nich pewne wiadomości. Rozpowiadanono, że dawniej jacyś górale nosili z Tatr drogie kruszce do Krakowa, nawet za poradą jakiegoś Karmelity krakowskiego wywozili je za granicę. Po skarby w Tatrach przychodzili zresztą i czarnoksiężnicy i nieraz z daleka ludzie obcy, bo naprzykład około r. 1790 wyprawiło się po nie czterech mieszczan z Nowego Jiczyna, z których — według opowieści ludu — dwóch zabiło się w górach, a dwóch wróciło od domu w nędzy i rozpaczy.

Do pracy dra Radzikowskiego dołączonych jest kilka map, z których bardzo ważną jest zwłaszcza mapa Tatr polskich z pewnego dzieła z r. 1796. Mapa ta wskazuje najwyraźniej, że granica ówczesna między Polską a Węgrami biegła szczytami gór, a nie środkiem Morskiego Oka, którego połowę wraz ze stokami Żabiego chcą sobie przywłaszczyć teraz nasi sąsiedzi.

Część ekonomiczna.

Wiedeń, 27 lipca.

(Z). Zarówno na naszej, jak i na berlińskiej giełdzie fatalne wrażenie wywołało ogłoszenie projektu nowej niemieckiej taryfy celnej przez urzędowy *Reichsanzeiger*. Taryfa ta bowiem, gdyby miała się utrzymać, oznacza niemal radykalną zmianę niemieckiej polityki handlowej, zmianę, która nie może wyjść na dobre ani przemysłowi niemieckiemu, ani też związanemu z nim licznymi węzłami światowi finansowemu. Na naszym targu objawił się niekorzystny efekt ogłoszenia niemieckiej taryfy celnej przedewszystkiem w dotkliwym spadku kursu akcyi wszystkich tych kolei, których liniami przechodzą transporty naszych produktów wywożonych do Niemiec. W pierwszym więc rzędzie ucierpiały akcye Staatsbahnu, stosunkowo mniejsze zniżki wykazują akcye kolei północnej, tudzież prywatnych kolei czeskich. Że reakcya dzisiejsza nie przybrała większych rozmiarów, to przypisać należy temu, iż wogóle ruch na targu dzisiejszym był bardzo nieznaczny. — Z Berlina donoszą, że wczoraj był run na kasę oszczędności w Hanowerze. Pomimo, że kasa ta zwracała zgłaszającym się bez wypowiedzenia wszystkie wkładki, publiczność nie chciała się uspokoić i tak tłumnie oblęgała biura kasy, że musiano zawezwać aż czterdziestu policyantów, aby utrzymać porządek i zamknięto całkiem ulicę, w której znajduje się gmach kasy oszczędności. Także w Saksonii stosunki w świecie bankowym wcale jeszcze nie są wyklarowane. Oto saski bank handlowy w Dreźnie nie może się utrzymać i jego rada nadzorcza postanowiła zwołać na 27 sierpnia nadzwyczajne zgromadzenie akcyonaryuszy celem uchwalenia likwidacyi tej instytucyi.

Ostatnie notowania:

Kredyty austr. 626·00, węgierskie 632·00, Anglobanki 269·50, Uniony 532·00, Bankvereiny 441·50, Länderbanki 402·00, Ludwiki 428·40, Czerniowieckie 530·00, Elbethale 469·00, Renta papierowa 99·10, srebrna 99·00, austryacka złota 118·35, austr. renta wal. kor. 95·60, węgierska złota 118·30, węgierska renta wal. kor. 92·95, dukat 11·30, 20-franków. 19·03—, 20-markówka 23·45, ruble 2·53—.

* **Z kolei.** Z dniem 23 lipca b. r. otworzono kolej lokalną Lambach-Haag a H. ze stacyami Bachmanning, Gaspoltshofen, Altenhof, Haag a|H., oraz przystankami Lambach, Aichkirchen, Hörbach, Weibern-Aistersheim, Meggenbach w obrębie Dyrekcyi kolei państwowych w Lincu. Wyż wymienione stacye Gaspoltshofen, Altenhof i Haag a H. otwarto dla ruchu ogólnego, przystanki Lambach, Aichkirchen, Hörbach i Meggenbach dla ruchu osobowego i ograniczonego, pakunkowego, zaś przystanek i ładownię Weibern-Aistersheim dla ruchu osobowego, pakunkowego i towarowego w całych ładugach wozowych.

Stacya Bachmanning, która ma być urządzoną dla ruchu ogólnego, będzie otwarta dopiero po wykończeniu budowy.

TELEGRAMY „PRZEGLĄDU“.

Pekin 29 lipca. W rokowaniach o kontrybucyę wojenną, jaką mają zapłacić Chiny, udało się wreszcie pokonać ów „martwy punkt“, który tak długo przeszkadzał załatwieniu sprawy. Posłowie angielski i rosyjski zawarli kompromis, zastrzegając sobie prawo rozpoczęcia w danej chwili na nowo rokowań nad sporną między nimi kwestyą. Spodziewają się tu, że w ciągu dni 14 rokowania będą ostatecznie ukończone i protokoły podpisane.

Ogólna suma, jaką mają zapłacić Chiny wynosi miliard taelów. Kwestyę ukarania winnych mandarynów i wstrzymania egzaminów także ostatecznie załatwiono. Ogłoszone wczoraj nominacye funkcyonaryuszy urzędu spraw zagranicznych, mających zająć miejsce dotychczasowego czungliamenu, przyjęto wogóle z zadowoleniem. Na czele nowego urzędu znajdują się dwaj ministrowie, mianowicie były wicekról prow. Czili Wangwenszon i Czunghunghi.

Praga 29 lipca. Wybory do Sejmu czeskiego odbędą się w pierwszej połowie listopada.

Haga 29 lipca. Dziennik urzędowy ogłosi dzisiaj listę nowego gabinetu.

Batum 29 lipca. Dotychczas stwierdzono, że skutkiem eksplozyi śmierć ponieśli: pułkownik, dwóch oficerów i 30 żołnierzy, zaś 20 żołnierzy jest ciężko rannych.

Nowy Jork 29 lipca. Posuchę w Kansas i na północnym Zachodzie stanu Missouri przerwał wreszcie ulewny deszcz; jednakże nie wpłynie on już na poprawę zbiorów kukurudzy.

Barcelona 29 lipca. Wczoraj odbył się tu antiklerykalny mityng, który przyjął rezolucyę domagającą się wydalenia z Hiszpanii zakonników. Po ukończonym mityngu tłum wydawał okrzyki na cześć republiki i socyalnej rewolucyi. Gwardya municypalna rozprószyła demonstrantów i kilkunastu aresztowała.

Nowy Jork 29 lipca. Konferencyę robotników w fabrykach stali odroczono. Jest nadzieja, że w przeciągu dni kilku nastąpi porozumienie.

Wiedeń 29 lipca. Na zamku Konopischt (w Czechach) odbyła się wczoraj uroczystość chrztu nowonarodzonej córeczki arcyks. Franciszka Ferdynanda. Otrzymała ona imiona Zofia, Marya, Teresa, Franciszka. Matką chrzestną była arcyks. Marya Teresa. Po kościelnej uroczystości odbył się obiad familijny.

Budapeszt 29 lipca. W miejscowości Teketelhota zdarzyło się wczoraj oberwanie się chmury. Cała miejscowość zalana. Wiele domów runęło. Pola zniszczone.

Opawa 29 lipca. W sobotę odbyło się ostatnie posiedzenie Sejmu szląskiego. Uchwalono przyłączyć się do usiłowań Sejmu czeskiego, zdążających do podwyższenia podatku konsumcyjnego od piwa i przekazania nadwyżek krajom dla sanacyi finansów krajowych. Następnie poseł ks. Świeży imieniem posłów słowiańskich złożył oświadczenie w sprawie żądań ich pod względem językowym, poczem sesyę Sejmu zamknięto.

Konstantynopol 29 lipca. Przybył tutaj porucznik gwardyi hr. Szechenyi z dwoma białymi ogierami, ofiarowanymi w podarunku sułtanowi przez Cesarza Franciszka Józefa.

Rzym 29 lipca. Przybyła tu para królewska, królowa-wdowa Małgorzata i inni członkowie rodziny królewskiej na żałobne nabożeństwo z powodu dzisiejszej rocznicy zgonu króla Humberta.

Neapol 29 lipca. Stan zdrowia Crispiego nagle znacznie się pogorszył; funkcye serca są coraz słabsze.

Kassel 29 lipca. Aresztowano tu członka rady nadzorczej Towarzystwa „für Trebertrocknung“ Schlegla.

Ischl 29 lipca. Umarł dr. Widerhoffer, lekarz przyboczny Cesarza.

Paryż 29 lipca. Przy wczorajszych ściślejszych wyborach do rad generalnych w 44 departamentach wiadome były do północy rezultaty z 94 okręgów (na 96 wszystkich okręgów, w których były wybory). Wybrano 83 republikanów i 11 konserwatystów. Republikanie zyskali 17 mandatów, a stracili 7.

Tryest 29 lipca. Rada miejska uchwaliła odmówić żądaniu rządu, aby miasto Tryest przyczyniło się do kosztów drugiego połączenia kolejowego z Wiedniem. Uchwała rady miejskiej wskazuje na to, że miasto przyczynia się już do kosztów rozszerzenia portu tryestyńskiego, oraz że drugie połączenie kolejowe leży nie tyle w interesie miasta, jak raczej w interesie całego państwa.

Londyn 29 lipca. Do *Standardu* donoszą z Szangaju: Podług doniesień z prowincyi Czili istnieje tam tzw. „stowarzyszenie rolnicze“, obejmujące 25000 dobrze uzbrojonych ludzi, przeważnie wydalonych żołnierzy i bokserów. Zabrali oni rozmaite zapasy, które wysłano do Pekinu na prowincyę.

Kraków 29 lipca. Za dwużeństwo skazał trybunał sądu kraj. karnego Walentego Laskowskiego, 37 lat liczącego lokaja, na sześć miesięcy ciężkiego więzienia, obostrzonego postem co tydzień.

W lutym 1898 roku ożenił się Laskowski w Jurkowie z niejaką Otylią Jawornik, lecz po kilkunastu dniach porzucił żonę, poczem przebywał w różnych miastach galicyjskich; w końcu przybył do Krakowa i tu poznał się ze służącą Maryanną Batulą, z którą wziął ślub 8 czerwca w kościele Bożego Ciała. Pierwsza małżonka dowiedziała się o tem i wniosła skargę.

HOTEL GEORGE.

Przyjechali dnia 29 lipca. Hr. J. Wodzicki z Krakowa. Hr. K. Łubieński z Krakowca. Hr. A. Dzieduszycki z Jasionowa. Br. F. Lazarini z Pragi. A. Binder z Dromyi. M. Zwellner z Glinian. Dr. A. Kukalski z Rozwadowa. F. Werner z Preszburga. Dr. A. Raczyński z Stanisławowa. M. Kabriński z Wołynia. J. Żakiej z Krakowca. A. Kohn z Budapesztu. A. Lubimow z Warszawy. B. Scholz z Berlina.

HOTEL EUROPEJSKI
ALBERT SZKOWRON
Lwów — Plac Maryacki.

Przyjechali 29 lipca. Hr. D. Borkowski z Wiednia. J. Pilipowski z Kocowa. Rotm. Rettich z Kamionki. L. Łobos z Taurowa. S. Glazor i T. Szymański z Schodnicy. K. Abramowicz z Krakowa. L. Cieński z Wodnik. R. Rudolf z Pasieczny. Dr. Jakliński z Komarna M. Dzieżanowska z Krakowa.

HOTEL FRANCUSKI
plac Maryacki — Lwów.

Pierwszorzędny hotel z komfortem urządzony, pilzneńska restauracya z pokojem do śniadań, cukiernia w miejscu.

Przyjechali dnia 29 lipca. A. Lunyak, A. Buckwitz i T. Kamareith z Wiednia. J. Hejda z Drohobycza. N. Patraszewski z Stanisławowa. N. Szumański z Brzeżan. J. Leszman i B. Makomaski z Rosyi. A. Stormke z Lipowiec. S. Kański z Hołotek. E. Mayewski z Romanowa. E. Blumberg z Hamburga. W. Jaruntowski z Twierdzy. J. Biskupski z Tarnopola. A. Mogelnicki z Rohatyna. M. Zajączkowski z Lisowiec.

NADESŁANE.

Rubryka ta nie pochodzi od Redakcyi, nie bierze też ona na siebie żadnej odpowiedzialności.

Wiedeń 29 lipca. (Giełda towarowa). Cukier (spokojny) 23·80. Nafta galicyjska bez zmiany. Spirytus (silniejszy) 40·40.

Berlin 29 lipca. (Zamknięcie giełdy). (Podług obliczenia procentowego). Banknoty austryackie 85·20. Spirytus 00·00.

Paryż 29 lipca. (Zamknięcie giełdy). Trzyprocentowa renta 100·85. Mąka („Fleur de Paris“) 00·00.

Wiedeń 29 lipca. (Giełda zbożowa). (Kursa w koronach i po 50 kilogramów). Pszenica na jesień 8·22—8·23, na wiosnę 0·00—0·00; żyto na jesień 7·17—7·18, na wiosnę 0·00—0·00; kukurudza na czerwiec-lipiec 0·00—0·00, na lipiec-sierpień 5·60—5·62, na sierpień-wrzesień 0·00—0·00, na wrzesień-październik 5·72—5·73, na maj-czerwiec 5·47—5·48; owies na jesień 6·66—6·67, na wiosnę 0·00—0·00. Rzepak na sierpień-wrzesień 14·00—14.20, na wrzesień-październik 0·00—0·00, na styczeń-luty 0·00—0·00. Olej rzepakowy na wrzesień-grudzień 0·00—0·00. Tendencya: silna. Pogoda: gorąco.

Budapeszt 29 lipca. (Giełda zbożowa). (Kursa w koronach i po 50 klg.). Pszenica na październik 8·13—8·14; żyto na październik 6·79—6·80; owies na październik 6·33—6·34; kukurudza na lipiec 0·00—0·00, na sierpień 5·32—5·33, na maj (1902) 5·16—5·17. Rzepak na sierpień 13·40—13·50. Oferty na pszenicę: mierne. Chęć kupna: słaba. Tendencya: spokojna. Pogoda: gorąco.

Lwów 29 lipca. (Z izby handlowej).
Obliczenie w walucie koronowej.

Akcye za 100 K.: Kolej gal. Karola Ludwika po 420 Koron 424·00 do 431·00, Kolej Lwowsko-Czern.-Jaska po 400 kor. 525.00 do 585·00. Banku hipotecznego po 400 kor. 530.00 do 550·00. Akcye garbarni w Rzeszowie po 400 kor. —·— do 150·—. Tow. budowy wagonów w Sanoku po 500 koron 400·— do 410.—. Banku dla handlu i przemysłu po 400 k. 350.— do 358.—.

Listy zastawne za sztukę: Banku hipot. galic. 5 proc. los. w 50 lat. z 10 proc. prem. 109·50 do 000·00 4 i pół proc. los. w 50 lat 97·50 do 98·—, 4 proc. los. w 60 lat 89.70 do 90·40. Banku kraj. 4 i pół proc. los w 51 lat 99.30 do 100.— Banku kraj. 4 proc. los w 57 lat 92·— do 92·70. — Tow. kred. gal. ziemskie 4 proc. (I emisya) 93·30 do 94·00. 4 proc. los w 41 i pół latach 93.50 do 94.20, 4 proc. los w 56 lat 91·00 do 91.70.

Obligi za sztukę: Gal. fund. propinacyjnego 4 proc. 96·— do 96·70. Bukowińskiego fund. propin. 5 proc. 101·50 do —·—. Kom. Banku kraj. 5 proc. (II emisyi) 101·70 do 102·40. Kolejowe lokalne Banku krajowego 4 procentowe po 200 koron 92·00 do 92·70. Pożyczki kraj. z r. 1873 6 proc. —·— do —.—. 4 proc. z 1893 r. 92.— do 92.70, miasta Lwowa 4 proc. po 200 koron 87·30 do 88·—, 4½% po 200 koron 97·— do 97·70.

Monety. Dukat cesarski 11·17 do 11·35. Napoleondor 18·90 do 19·15. Rubel rosyjski papierowy 252·50 do 254·—. 100 marek niemieckich 117·20 do 117·60.

Ruch pociągów kolejowych

ważny od 1go maja 1901 roku według czasu środkowo-europejskiego.

Przychodzą do Lwowa:

Z Krakowa: **2·31***, **1·35**, **8·40***, 6·10, 8·50, 5·50 i 9.50*.
Z Rzeszowa: 11·45.
Z Podwołoczysk (na dworzec główny): **2·35**, 8·35*, 5·35, 10.20*; na Podzamcze: **2·20**, 3·12*, 5·11, 10·2*.
Z Tarnopola: 8·00 (na dw. gł.); 7·40 na Podzamcze.
Z Czerniowiec: **12·15***, **1·45**, 6·20, 5·40 i 9·20*.
Ze Stanisławowa: 11·55.
Ze Stryja: 8·10, 1·10, 4·40, 10·50*.
Z Sokala: 8·15, 6·00.
Z Janowa 7·45, 12·55; do 15 września w niedzielę i święta: 9.00*; do 30 września codziennie: 9·41*.
Z Brzuchowic do 15 września codziennie: 6·46 i 8·50*, w niedzielę i święta: 8·14 i 7·36*.

Odchodzą ze Lwowa:

Do Krakowa: **12·45***, **8·30**, **2·55**, 4·15*, 8·40, 6·20*, 11*.
Do Rzeszowa: 3·30.
Do Podwołoczysk z dworca głównego: **1·55**, 6·30, 9·25, 11·10*; z Podzamcza: **2·08**, 6·43, 9.42, 11·32*.
Do Tarnopola: 7·10* z dw: głównego i 7·32* z Podzamcza;
Do Czerniowiec: **2·51***, **2·40**, 6·25, 10·25, 10·30*.
Do Stanisławowa: 6·10*.
Do Stryja: 6·35, 9·00, 3·05, 6·35*
Do Sokala: 10·20, 7·25*.
Do Janowa: 9·15; do 15 września w niedziele i święta 1·25, a codziennie 3·15; do 15 września w dni powszednie a następnie codziennie 6·30*.
Do Brzuchowic. do 15 września codziennie 5·45* i 3·26, a w niedziele i święta 2·15 i 7·52*.

Uwaga. Pociągi pośpieszne drukowane są literami tłustemi; pociągi nocne oznaczone są gwiazdką. Pora nocna liczy się od godz. 6 wieczór do 5 min. 59 rano.

Obszerny wyciąg z rozkładu jazdy dla głównego dworca i Podzamcza ogłasza się co środy i soboty.

40)

Wśród szczęku mieczów.

Epizod z wojny francusko-pruskiej

przez

Maksa Pembertona.

Tłómaczyła z angielskiego baronowa Zofia Hartingh.

(Ciąg dalszy).

— Twoje wyznanie jest zbytecznem — zawołał. — Byłem głupcem, żem się go domagał. Ojciec twój porzucił żonę, bo była Francuzką, — tyś zdradziła moją ojczyznę, bo ja jestem Francuzem. Nie potrzebujesz już kłamać mi w żywe oczy. Sama wydałaś wyrok potępiający na siebie. Mój kraj niczem jest dla ciebie. Jego cierpienia sprawiają ci rozkosz. Sprzyjasz tym, którzy tę klęskę sprowadzili na nas. Więcej mi już nie potrzeba. Odtąd zapomnę istnienia twego, kiedy ten człowiek — twój kochanek — zginie z mojej ręki — zapomnę, żeś kiedykolwiek przybyła do Strassburga, aby zniesławić moje imię w oczach tych, którzy mnie kochali i szanowali dotąd. Nie usłyszysz nigdy więcej mego nazwiska; nie przekroczę nigdy progu domu, który daje ci schronienie. I nie staraj się daremnie odwrócić mnie od tego postanowienia, ani odszukać mnie na szerokim świecie, bo, jak Bóg na niebie, nie zdałoby się to na nic. Przeszłość nie wróci nigdy. Rozpocznę nową kartę życia, na której imię twoje nie będzie wypisane. Jeżeli dziś każdy ma prawo bluźnić mi w oczy obelgą, że byłem tchórzem, to nikt mi już tego nie zarzuci, kiedy kochanek twój krwią swoją zmyje moją zniewagę. I nie łudź się, Beato! Nie spocznę, póki go nie odszukam, nie wyrwę choć z pod ziemi. Będę wartować dniem i nocą pod jego domem, póki ten nikczemnik nie da mi jedynej zapłaty, jaką dać może za honor, to jest swego życia. Oto moje ostatnie pożegnanie dla ciebie... O Boże!... więc po to powróciłem do Strassburga, aby zanurzyć się w takiej ohydzie!...

Przerwał wyczerpany z tchu i spojrzał na nią. Stała blada jak trup i milcząca, wsparta o ścianę koło drzwi. Wielkie jej, bezmiarem bolu i przerażenia otwarte oczy, świeciły jak dwie gwiazdy w ciemną noc, a splecione ręce zaciskały się kurczowo. I stała tak wciąż martwa i jakby skamieniała, bez ruchu i bez głosu, gdy przechodząc szybko koło niej Edmund, wybiegł dyszący wściekłością na ulicę, pogrążoną w ciemnościach.

O świcie znalazła Rozetka swoją młodą panią leżącą bez duszy na posadzce i długie godziny upłynęły, zanim przekonano się, czy tkwi w niej jeszcze życie, lub nie.

ROZDZIAŁ XXVIII.

Po gwałtownym ataku nastały długie dni sennej bezprzytomności i gorączkowych widziadeł, będących wynikiem nadmiernego natężenia mózgu i nerwów. Nie wiedziała, gdzie się znajduje; nie poznawała głosów, szepczących cicho dokoła niej; żyła w jakimś odmiennym świecie, w strasznej, czarnej krainie cieniów i bezustannych zapasów. Z mroków wypływały ku niej jakieś blade, dawno znane twarze; oblicza zmarłej matki i Edmunda, pochylające się troskliwie nad jej łożem. Do tego ostatniego wyciągała bezsilne ramiona, ale nie mogła go dosięgnąć, bo widzenie rozpływało się w powietrzu i znikało, przerywając krótki sen szczęścia, poczęty w rozpalonym mózgu. Widziała się porwaną w odmęt strasznego jakiegoś orkanu, szalejącego po świecie; szła przez morze płomieni, przez strugi krwi, zalewającej ulice miasta, to znów przeżywała okropną noc w Wörth, to zdawało jej się, że wije się u nóg męża, błagając, aby oszczędził życie jej przyjaciela. Tysiące głosów jakichś nieznanych przemawiało do niej, ale ona nie poznawała żadnego. Nie wiedziała, że gromy huczą ponad jej głową, a sen nie przynosił jej żadnego wytchnienia, tylko wzmagał jeszcze gorączkową pracę jej mózgu, potęgując obraz piekła, pełnego dymu, krwi i płomieni, w których błąkała się jej wyobraźnia.

Po dziesięciu dniach takiej męki odzyskała nareszcie przytomność, aby się przekonać, że nie znajdowała się już na placu Klebera. Kiedy otworzyła znużone powieki i usiłowała podnieść się na łożu, spostrzegła, że przeniesiono ją do obcego jakiegoś pokoju, tak ciemnego i ponurego, jakby był grobem, w którym zamknięto ją jeszcze za życia. Nawet masywne kolumny, podtrzymujące arkady ciężkiego sklepienia u góry, przypominały ostatnie mieszkanie zmarłych. Woskowe grube świece, zatknięte w wysokie, czarne lichtarze, posępnie płonęły w głębi, niby gromnice. Nie słyszała żadnego głosu dokoła siebie, tylko daleki, stłumiony huk kanonady, przeciągającej nad miastem u góry. Osłabienie jej dochodziło do ostatecznych granic, nie mogła nawet podnieść ręki, ani zebrać myśli. Zdawało jej się, że umiera i że spokój i cisza śmierci padły na nią, jak najsłodszy dar nieba.

Rozetka weszła na palcach, niosąc talerz dymiącego rosołu. Spostrzegłszy, że chora się zbudziła, postawiła szybko talerz i wybiegła wołając:

— Księże proboszczu! księże proboszczu!

Jednocześnie prawie zjawił się sędziwy ksiądz Colot, szepcąc dziękczynną modlitwę do Boga, że mała jego pacyentka żyje.

— O! moje dziecko! — zawołał wzruszony — chwała niechaj Bogu będzie za to, żeś nam została przywróconą.

Beata przetarła zwolna oczy.

— Czyj to dom? — spytała cicho.

— Mój. Chorowałaś tu ciężko. Przyniesiono mi ciebie bezprzytomną z placu Klebera. A, moje dziecko już niema placu Klebera... już niema naszego Strassburga! Żyjemy w podziemiach; nie widujemy słońca! Czy czujesz się bardzo osłabioną?

Ona westchnęła i śliczną, wyczerpaną główkę przytuliła do poduszki.

— Gdybym tylko mogła cośkolwiek zapamiętać, księże proboszczu — rzekła żałośnie. — Ale tyle rzeczy widziałam, słyszałam.... I nic... nic nie wiem... Wszędzie noc... noc dokoła i ciemności...

— Ale Bóg dobry da, że wkrótce dzień jaśniejszy zabłyśnie nad nami. Ufajmy w miłosierdzie Boże, moje dziecię...

Tu wdała się między nich Rozetka.

— Niechno paniusia spojrzy, co to za smaczny, posilny rosołek. Aż ślinka do ust idzie. Ale to tylko dla paniusi taki specyał. Ludziska żyją teraz tylko wątrobami gęsiemi i końskiemi gnatami. Ja tak nie lubię gęsiny! Tak nam paniusia ciężo chorowała... tak ciężko! Co dzień powtarzałam sobie, już dziś napewno umrze! I płakałam, aż mi oczy zapuchły. Czy nie tak, proszę księdza proboszcza? A teraz trzeba, żeby się pani posiliła, choć paroma łyżkami tego apetycznego rosołku.

Smutny, blady uśmiech przemknął po wynędzniałej twarzy Beaty. Budzący się z odrętwienia umysł jej zaczynał już nawiązywać nitki wspomnień, w miejscu, gdzie przerwała je gorączka.

— Czy mój mąż był tutaj? — zagadnęła znienacka.

Ksiądz przecząco potrząsnął głową. Nie wiedział nic o powrocie Leforta.

— Niema go zapewne dotąd w Strassburgu, moje dziecko — rzekł. — Ale wróci niebawem. Twoi przyjaciele nie zapominają o tobie. Pan Watts przychodzi dwa razy dziennie. Był dziś z rana i powróci wieczorem.

Ona słuchała, nie zdając się dobrze rozumieć. Dlaczego Ryszard Watts przychodził ją odwiedzać? Dlaczego nie było przy niej Edmunda? A... już wie teraz... Przypomniała sobie tę noc okropną rozstania... jego groźbę... przekleństwo niemal, które na nią rzucił odchodząc...

— Czy pan Watts nie zostawił jakiego zlecenia dla mnie? — spytała po chwili.

— Tylko to, abyś się starała przyjść jak najprędzej do siebie. Wszyscy ci to zalecamy, moje dziecko. Nie możemy pozwolić, aby wnuczka naszej zacnej pani Heleny nas opuściła i poszła za nią. Dość bez tego jesteśmy osieroceni. I proszę cię, nie rozmawiaj więcej. Doktór zalecił największy spokój, aż póki biedna twoja główka nie wróci całkiem do równowagi.

— A rosołek!... — wtrąciła Rozetka. — Ksiądz dobrodziej zapomina o rosołku, który tymczasem stygnie. Niechno paniusia pokosztuje. Możemy żyć w podziemiach, póki mamy takie królewskie pożywienie. No — łyżeczkę — proszę... Za zdrowie Rozetki.

Uniosła silnem ramieniem w górę wychudłą postać chorej i zaczęła ją karmić, jak dziecko, a staruszek ksiądz przypatrywał się temu z zadowoleniem. Nie wiedział, dlaczego kapitan nie troszczył się wcale o żonę, ale przypisywał to obowiązkom służbowym, które go przetrzymywały zdala od niej. Zaczął też cichym, powolnym głosem opowiadać o klęsce i cierpieniach Strassburga, aby odwrócić myśl chorej w innym kierunku.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Redaktor odpowiedzialny: **Wacław Masłowski.** Papier z fabryki Czerlańskiej. Z drukarni E. Winiarza.